Miesięcznie 1
Prenumeratę przyjmuje każda poczta.

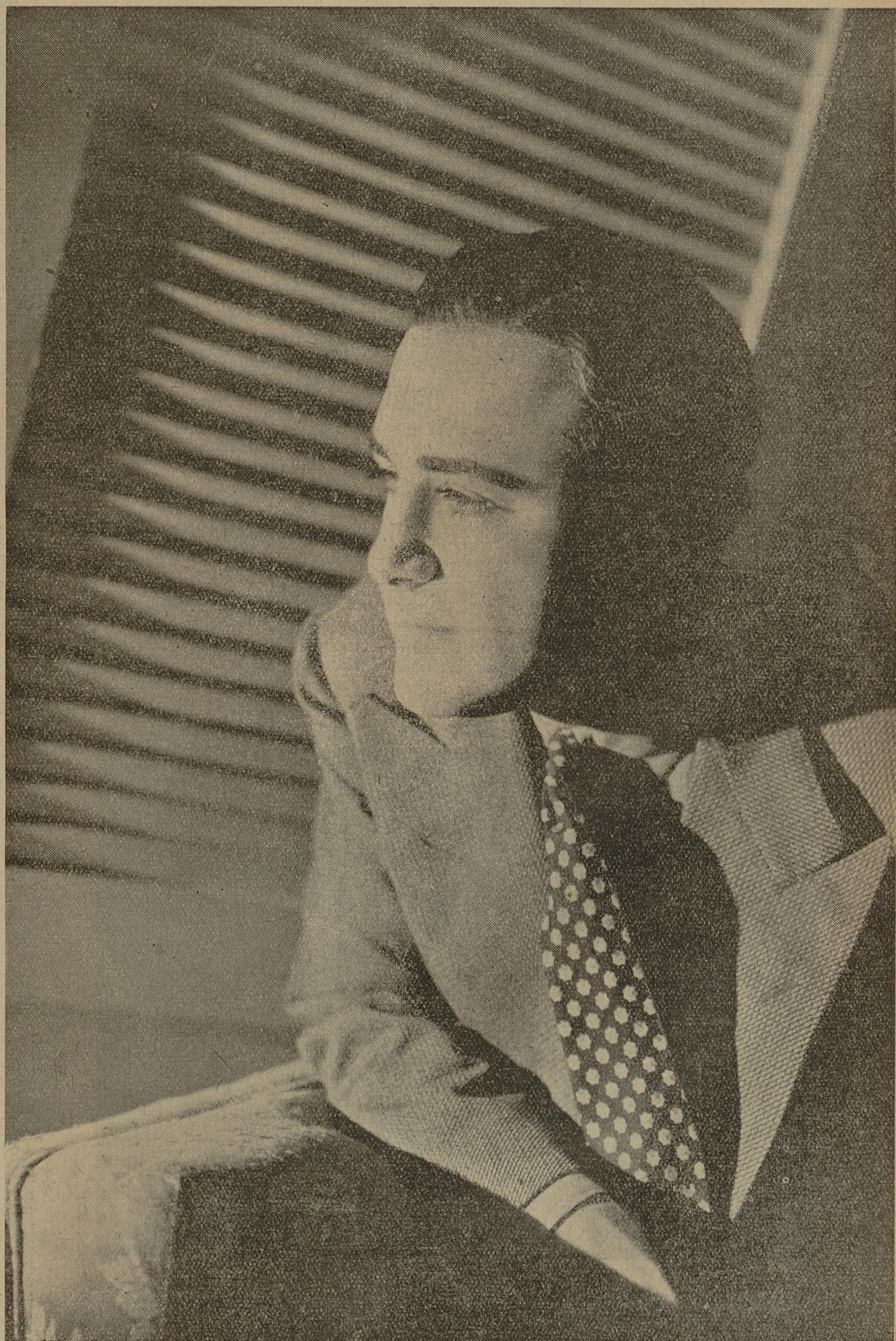
1 egz. **30** groszy

Moje Powieści

ILUSTROWANY TYGODNIK DLA WSZYSTKICH

Rok VI. *Niedziela, dnia 23 października 1938 r.* Nr. 43

D z i ę k u j ę C i !



Za kilka jasnych, szczęsnych chwil,
za szereg tych minionych dni —
opanowując dzisiaj ból,
dziękuję ci.

Cóż z tego, że odeszły w dal,
wspomnienia, zostawiając ślad?...
pozostał po nich cichy żal,
jak niezerwany, drżący kwiat...

Lecz ja wspomnieniem żyję tym
i dusza o nim zawsze śni —
więc przeto całym sercem swym
dziękuję ci!...

Eleonora Klidzia.

ADAM CZEKALSKI

5).

Hollywood

POWIEŚĆ

A „dzikusi" ,którzy i tak niewiele uwagi zwracali dotąd na panią tego domu i jej przyjaciół, po jej wyjściu poczuli się jeszcze swobodniejsi i teraz dopiero bachanalia rozgorzała w całej pełni.

W pewnej chwili młoda Lajla Lesche, młoda i urodziwa adeptka filmu, na pół już pijana, zawołała:

— Hej, Sfiwt, jedźmy do „Abdery" na „wild dance parties".

Przystojny Apollin podniósł głowę z ramienia jakiejś czarnowłosej piękności i przekrwionymi od nadmiaru alkoholu oczami spojrzał na tę, która go wzywała. W oczach zapaliły mu się niezdrowe błyski.

— Powiadasz, Lajlo?

— Powiadam, abyśmy się wynieśli stąd i pojechali do „Abdery".

— Hip, hip, hura! Jedziemy do „Abdery"! Tam dopiero pohulamy.

— Jazda do „Abdery"!

— Do „Abdery"! Do „Abdery"!

VIII.

„DZIKIE ZABAWY TANECZNE"

Lokal nocny „Abdera", mieszczący się w ustronnym miejscu Los Angeles, była to dziura podejrzana, do której jednak niekażdy miał dostęp. Przeciętny śmiertelnik, rozporządzający zaledwie paru lub kilkunastu dolarami, wstęp tam miał wzbroniony, ale ludzie filmu, bogaci synkowie milionerów, tracący bez namysłu i zastanowienia setki i tysiące dolarów z kas pancernych swoich ojców, bywali tam zawsze nader mile widziani i pożądani.

„Abdera" znana też była w szerokich kręgach amerykańskiej plutokracji i noc w noc zapełniała się elegancko ubranymi panami i tak mocno wydekoltowanymi damami, że z sukni niektórej z nich można było uszyć nieledwie chusteczkę do nosa pokaźniejszych rozmiarów.

Do tego to lokalu, gdzie działy się rzeczy, „o jakich się filozofom nie śniło", wybierało się teraz całe towarzystwo na „wild dance parties", albo inaczej — na „dzikie zabawy taneczne".

Skoro zapadło jednogłośne postanowienie, że wszyscy tam udadzą się wprost z przyjęcia u miss de Rieth, zaczęto natychmiast okrywać się płaszczami i narzutkami i nie minęło kilkanaście minut, a już sznur samochodów sunął w szalonym pędzie w stronę morza, gdzie w zacisznym parku, do którego wejścia strzegli dwaj atletyczni cerberzy, mieściła się tanc-buda nocna, „Abdera".

Pojawienie się w tym lokalu nowych, a zarazem pożądanych gości, wprawiło natychmiast w ruch nie tylko samego gospodarza, zarządcę, szefa kuchni i piwnic, ale wszystkich, kto żył, a komu zależało na tym, aby ci młodzi i szalejący ludzie zostawili tutaj możliwie najwięcej dolarów.

Przyjęto ich też z wielkimi honorami, przesadzając się w grzecznościach. Murzyńska orkiestra jazz-bandowa zeszła natychmiast z podium i uderzywszy w jakiś szalony i dziki rytm, powitała ich już na progu czymś w rodzaju marsza triumfalnego i odprowadziła na miejsca, które im wskazywał kierownik sali. Sfora wyfraczonych kelnerów zbiegła się zewsząd, otaczając czarnym wieńcem pijaniusieńkie już prawie całkowicie towarzystwo.

Nad całą zgrają przywiezionych z sobą gości objął natychmiast komendę urodziwy Sfiwt-Apollo, wskazując miejsca aktorkom, statystkom i wyfraczonym towarzyszom, a potem rozkazał podać na stół wina.

— Wina! Dawaj wina! Hej, Slit, gdzie jesteś? — krzyczał na kierownika sali, aż huczało dokoła.

Od innych stolików rzucano ku nim słowa pozdrowień, nawoływań, powitań i zapytań w różnych intonacjach; niektóre „ladies" podnosiły się, opuszczały towarzyszów i z oczami błyszczącymi podchodziły do Sfiwta, jakby urzeczone jego młodością, urodą tak bardzo fascynującą i próbowały albo wyciągnąć go na pogawędkę gdzieś w odosobnionym zakątku, albo też wkręcić się do towarzystwa przy jego stoliku.

I Sfiwt nie odmawiał żadnej z tych uroczych „ladies", przyjmował każdą z otwartymi ramionami, kazał dostawiać coraz to nowe krzesła i niebawem, zamiast licznych stolików i odosobnionych parek, utworzył się jeden ogromny stół, dokoła którego siedziały piękne kobiety, prawie całkiem obnażone, gdyż to, co posiadały na sobie, trudno było nazwać okryciem, i liczni panowie we frakach i smokingach.

Rozpoczęło się znowu pijaństwo: metodyczne, powolne, ale ciągłe i nieustające, jakby tym wszystkim ludziom chodziło tutaj jedynie o to, by się upić możliwie najszybciej do tego stopnia, by popaść w delirium.

Jakoż niebawem i to miało nadejść, gdyż wszyscy tu zgromadzeni, albo przybyli już skądinąd mocno podchmieleni, albo też na miejscu „dodali sobie ducha" niezliczoną ilością kieliszków.

Pierwszy podniósł się od stołu urodziwy Sfiwt-Apollo.

— Hej, przyjaciele, teraz zatańczymy! — krzyknął do całego stołu.

Murzyni jakby tylko tej chwili czekali. Uderzyli natychmiast w akord wprost piekielny, który byłby strasznym, gdyby ci ludzie mieli jeszcze odrobinę możności rozróżnienia rzeczy prostych i normalnych.

Porwano się od stołów, łączono w pary i w oszalałym rytmie, na pół przytomni, jeli się pchać na kwadratowy parkiet, aby się tam kręcić w rytm melodii, która wcale nie była melodią i w tańcu, który wcale nie był tańcem.

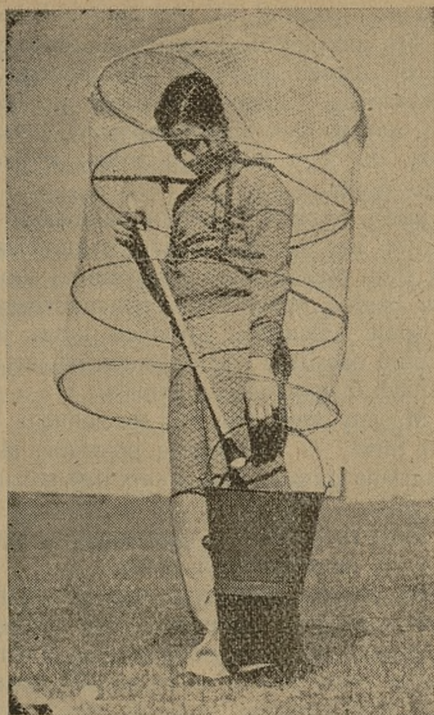
Sfiwt zataczał się tylko, wtuliwszy usta gdzieś w pachnący karczek swojej tancerki i ślinił ją zeschłymi wargami, udając, że całuje. Tancerka zdawała się bynajmniej nie odczuwać całej obrzydliwości takiego pocałunku, ale przewracała białkami oczu, jakby w jakiejś niepojętej ekstazie i tuliła się tym mocniej do piersi tancerza, który ledwie na nogach się trzymał.



Miss Europa na rok 1938. Została nią przedstawicielka Finlandii.



Rozpoczął się okres winobrania. Na zdjęciu sędziwy rzeźbiarz francuski, Felix Benneteau zrywa soczyste grona w ogrodzie swej posiadłości pod Paryżem.



Chłopiec do zbierania piłek w pewnej, nieznanej u nas, angielskiej grze, w takiej oto sieci ochronnej spełnia swoją czynność.

Każdy normalny człowiek, który by miał możność zajrzeć w tej chwili do tego lokalu, odniósłby niezawodnie wrażenie, że ma do czynienia z wariatami, których zamknięto dla bezpieczeństwa społeczności normalnej w murach odosobnionego domu. Jedna tylko osoba nie brała w tej orgii udziału. Była to bardzo urodziwa, może osiemnastoletnia zaledwie dziewczyna. Siedziała dalej przy stoliku, zadumana i jakby nadąsana, a chociaż kilku panów kolejno prosiło ją do tańca, odmawiała zawsze, nie chcąc widocznie brać udziału w tej orgiastycznej bachanalii.

Dziewczyną tą była Europejka, Mady Lie, niedawno importowana do Hollywood, gdzie jednak już po pierwszym filmie padła i teraz utrzymywała się ze skromnej gaży statystki filmowej.

Kiedy muzyka grać przestała, zawiedzeni w swych zalotach osobnicy zwrócili się do Sfiwta:

— Słuchaj, Charles, Mady stanowczo odmawia wzięcia udziału w naszej zabawie. Przy następnym tańcu poproś ją ty. Jeżeli ci odmówi, tobie, tak pięknemu mężczyźnie, będzie to skandal, którego nie wolno puścić płazem.

— Dobrze, dobrze, przyjaciele, każcie negrom grać — odrzekł Sfiwt i ruszył w kierunku samotnej dziewczyny, naburmuszonej i prawie ogłuszonej tym wszystkim, na co patrzyły jej oczy.

— Mady, czemu nie chcesz tańczyć? — spytał Apollin.

Dziewczyna wstała.

— Przecież to nie jest taniec, Charles.

— Nie jest taniec? A cóż ty nazywasz tańcem?

— W każdym razie nie te szaleństwa, które wy wszyscy wyczyniacie.

— O, moja droga, nie bądź-że taka cnotliwa. Purytanizm obecnie w Stanach wcale nie popłaca. Pójdziesz ze mną tańczyć... O, już negrzy grają.

— Nie pójdę tańczyć ani z tobą, ani z nikim — wracam do domu.

— Czyś ty oszalała, Mady?

— Nie, to wyście wszyscy poszaleli.

— Mady... Czy mnie się chcesz opierać?... Mnie, do którego pisuje tysiące kobiet z najlepszego towarzystwa Stanów i całej Europy?

— Ja jednak nigdy nie napisałabym do ciebie. Tylko błaźnice pisać mogą do błaznów.

Sfiwt, nienawykły, aby w podobnym tonie przemawiano do niego i w ten sposób go traktowano, zamrugał nerwowo powiekami, potem spurpurowiał i wreszcie złapał silnym uściskiem dziewczynę za ręce.

— A ja ci powiadam, Mady, że będziesz tańczyć ze mną.

Dziewczyna szarpnęła się gwałtownie i wyrwała z rąk pijaka, a potem odsunęła błyskawicznie krzesło i skoczyła ku drzwiom.

— Slit, nie puszczaj jej! — ryknął Sfiwt na kierownika sali.

Dwóch kelnerów, na skinienie wszędzie obecnego Slita, zagrodziło drogę dziewczynie.

— Miss Lie, proszę zostać — rzekł Slit głosem gorzkim, który starał się być słodkim. — Pani nie może teraz stąd wyjść.

— Nie będę się pana o to pytała — odrzekła dumnie Mady i odepchnąwszy jednego z kelnerów, spróbowała wydostać się do hallu. Lecz czujny na wszystko Slit, złapał ją mocno w pół i przytrzymał.

— Pani wybaczy, miss Mady — próbował się tłumaczyć Slit — ale mam rozkaz zatrzymania jej tutaj na wyraźne życzenie mister Sfiwta.

W tej chwili czyjaś ręka spoczęła na ramieniu kierownika sali. Obejrzał się. Przy nim stał młody i utalentowany aktor sceniczny i filmowy, Ted Haely.

— Slit, zostaw miss Mady w spokoju — wyrzekł wolno, lecz z naciskiem aktor.

Kierownik sali zrobił głupią minę, nie wiedząc, jak wybrnąć z tej sytuacji. Chciał spełnić rozkaz Sfiwta, a jednocześnie nie obrazić na siebie Healy'ego. Jąkając się przeto, odezwał się wreszcie:

— Mis... mis... ter, ależ Sfiwt...

— Mister Sfiwt jest pijany i nie wie, co robi. Nie należy pijanych ludzi we wszystkim słuchać.

W tej chwili przy nich stanął Sfiwt. Był zły i gniewny.

— Ted, Mady zostanie ze mną — chrapnął raczej, niż wyrzekł.

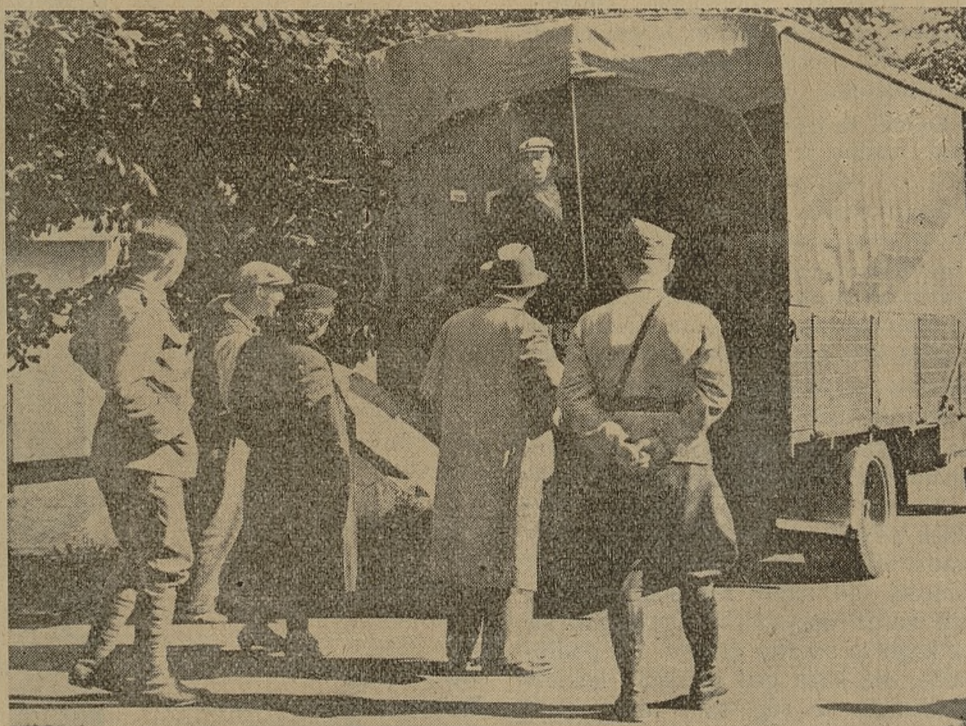
— Charles, daj spokój Mady — rzekł spokojnie Healy — jesteś pijany i robisz głupstwa. Pozwól Mady odjechać do domu.

— Cóż to, sprzeciwiasz mi się? Odkądże to zostałeś opiekunem pokrzywdzonych dziewic?

— Choćby od tej chwili, w której zaczepiłeś Mady.

— Nie jest ona twoją kochanką...

— Również nie jest i twoją. Mady jest uczciwą dziewczyną i krzywdzisz ją tym,



W czasie zatargu niemiecko-czeskiego, Czesi poddawali szczegółowej rewizji każdy samochód znajdujący się na terenie Sudetów.



Grozę nowoczesnej wojny powiększają sunące ciężko stalowe twierdze — czołgi

że chcesz ją zatrzymać tutaj wbrew jej woli.

— Ted, ustąp.

— Nie mogę, kochany Charly, nie mogę... Zostaw Mady w spokoju.

— Ted... ostatnie słowo: jeżeli w tej chwili nie odejdziesz, zmiażdżę ci nos.

— Nie szkodzi, jestem ubezpieczony. Podejmę premię.

Te spokojne słowa do reszty już wyprowadziły z równowagi pijanego i tak już i zdenerwowanego Sfiwta. Nie wdając się więc w żadne dalsze dyskusje, błyskawicznym ruchem zadał Healy'emu cios w twarz. Aktor uchylił się również szybko i pięść Sfiwta spadła na jego pierś. Uskoczył krok w tył i z gotowymi pięściami czekał ataku Apollina. A ten, rozwścieczony jeszcze bardziej nieudanym pierwszym ciosem, rzucił się teraz na Teda jak huragan. W jednej chwili utworzyło się kolisko z nadbiegłych mężczyzn, a widząc walczącego Sfiwta i nie wdając się w treść zatargu, rzucili się na Teda z krzesłami, połamanymi stołami, z głowniami rewolwerów i w jednej chwili z walki dwóch, powstała walka wszystkich przeciw jednemu.

Ktoś strzelił w ogromny pająk elektryczny. Kula trafiła w kosztowne kryształy, strzaskała je i uderzywszy snać w przewody elektryczne, zgasiła główne światło. Kobiety podniosły wrzask i pisk, mężczyźni klęli i rwali się do bójki, a, że nie zawsze każdy wiedział kogo bić, walił tedy kijem po łbie pierwszego, który mu na drodze stanął, albo sam brał z tyłu kijem po łbie.

Skotłowało się wszystko, zwychrzyło, że nic nie można było rozeznać.

Bójka trwała ponad pół godziny, aż wreszcie operator elektryczny, nastawiwszy potężny reflektor na tłum walczących, oblał wszystkich oślepiającym blaskiem mlecznego światła. Ten snop światła, który padł w ciemności tak nagle i niespodziewanie, otrzeźwił naraz wszystkich. Zatrzymali się tak, jak kogo to światło zastało. Na podłodze walało się kilka ciał męskich, kobiety stały wciśnięte w róg sali, niepewne i drżące.

— Jack! Gdzie Mady?

Głos Sfiwta rozbrzmiał w tej dziwnej ciszy, jaka nastała po wrzawie i bójce, jak głos rozbitego garnka.

— Jest, jest, mister Sfiwt — odkrzyknął mu gdzieś z głębi hallu czujny na wszystko Slit.

— Dawaj ją tu! Każ zapalić lampy i uprzątnąć wszystko, co niepotrzebne.

Slit, poruczywszy strzeżenie Mady dwom kelnerom, przybiegł na wezwanie pięknego Charlesa. Obrzucił bystrym wzrokiem salę, ocenił w myślach straty i wydał natychmiast rozkaz uprzątnięcia i doprowadzenia do porządku sali. Jednocześnie rozbłysły lampy zapasowe i w sali stało się jasno, jak w dzień słoneczny.

Przy drzwiach prowadzących do hallu leżał w kałuży krwi Ted Healy. Slit dostrzegł go i szepnął coś jednemu z kelnerów. Ten przywołał do pomocy towarzysza i we dwóch podnieśli poranionego i pokrwawionego aktora i wynieśli do gabinetu, aby go tam obmyć, opatrzyć i wsadziwszy do jego własnego wozu, wyprawić do domu.

A kiedy wszystko zostało załatwione i po bójce nie został na sali najmniejszy nawet ślad, piękny Sfiwt przypomniał sobie znowu biedną Mady Lie i, zgromadziwszy przy sobie kilkunastu młodych ludzi, jął się z nimi naradzać nad najskuteczniejszym ukaraniem nieposłusznej aktorki.

— Musimy wymyślić coś specjalnego — mówił Sfiwt. — Nie można pozwolić, aby ta smarkula dawała nam wszystkim szczutka w nos.

— Masz rację Charlie, masz rację — zgodzono się ze wszystkich stron.

Potem zaczęto podsuwać rozmaite plany i myśli ukarania „opornej", lecz długi czas zdania były podzielone i nie można ich było jakoś zebrać w jedno. W końcu jednak Sfiwt podniósł palec do góry i wyrzekł z powagą:

— Mam! Odeślijcie wszystkie kobiety do domu, a my już bez nich zajmiemy się nieposłuszną Mady.

— Coś wymyślił, Sfiwt? — dopytywano z wielu stron. — Jaki pomysł przyszedł ci do głowy?

— Powiem wam to odrobinkę później. Teraz zróbcie to, co rzekłem: wyślijcie kobiety do domów. Zabawa bowiem, jaką zamierzam urządzić, nie powinna odbywać się przy nich.

— All right!

W pół godziny później w sali zostali tylko sami mężczyźni. Charles skinął wtedy na przyjaciół i rzekł:



Podczas pobytu w Warszawie, wycieczka Poleszuków złożyła hołd pamięci Marszałka Józefa Piłsudskiego w Belwederze.

— Siadajmy do naszych wozów. Ty, Tomie, zabierzesz się do wozu Mady i będziesz uważał, aby nam sikoreczka nie umknęła w proso.

— All right, Charles.

— Zatem jazda!

Wszyscy mężczyźni wytoczyli się z lokalu do obszernego parku i zaczęło się lokowanie poszczególnych osobników do samochodów, stojących w wielkim sznurze na jednej z szerokich alei. Tom Deer, „złoty młodzieniec" bogatego papy, chłop jak dąb, udał się do gabinetu Slita, gdzie pod strażą dwóch kelnerów czekała Mady.

— Halo, Mady, jedziemy do domu — zawołał na dziewczynę.

— Zdaje się, Tomie, że ja z tobą nie przyjechałam tutaj. Mogę przeto równie dobrze wrócić sama.

— Jest noc, Mady, a w nocy w wielkim mieście jest równie niebezpiecznie, jak w puszczy dziewiczej.

— Zostaw mnie w spokoju i nie troszcz się o mnie.

— Czemuż to?

— Jesteśmy, jak mi się wydaje w Stanach Zjednoczonych, a tutaj kobiety nie są przyzwyczajone do opieki mężczyzn, chociażby przyszło im nawet w nocy wracać do domu.

— Dość, Mady, albo pojedziesz ze mną po dobrej woli, albo użyję przemocy.

— Dobrowolnie nie pojadę ani z tobą, ani z nikim z twojego towarzystwa.

— Dobrze. Zatem pojedziesz wbrew swej woli.

I Tom, nie wdając się w dalsze dyskusje, podsunął się do Mady, chwycił ją silnie rękami, potem przerzucił ją sobie pod ramię i wbrew jej gwałtownemu oporowi, poniósł do samochodu. Biedna Mady krzyczała, wyrywała się, kopała olbrzymiego Toma, lecz wszystkie jej wysiłki na nic się zdały. Tom ulokował ją w samochodzie położył ręce na kierownicy puścił w ruch starter i wóz poderwał się z miejsca. Kilkadziesiąt innych samochodów sunęło przed nim i za nim, tworząc jakby straż.

Mady nie zdawała sobie sprawy z tego, dokąd ją wiozą. Nie krzyczała już, ale też i nie rezygnowała wcale z obrony. Postanawiała sobie, że będzie walczyć do ostatka sił, a nie uczyni nic takiego, co by ją obrażało.

Tom był milczący, Mady również nie odzywała się jednym słowem, ale w duszy czuła pewien strach przed tymi brutalnymi i dzikimi ludźmi, którzy ukartowali jakiś podły zamach na nią.

Przejeżdżali miasto w różnych kierunkach, nie zatrzymując się nigdzie. Dopiero kiedy znaleźli się w dzielnicy filmowej, w Hollywood, Tom zatrzymał nagle samochód. Inne wozy zatrzymały się również. Sfiwt pierwszy wyskoczył ze swego auta i podbiegł do Toma.

— Jakże się tam zachowuje nadobna dziewica? — spytał złośliwie.

— Niczego sobie, jest całkiem spokojna.

— To pięknie z jej strony. Hej, Mady, moja milutka cnoto, bądź taka dobra i przesiądź się na tylne siedzenie wozu, dobrze?

Mady poczuła się w tej chwili najbardziej osaczona. Postanowiła nie wychodzić w ogóle z wozu. Ale Charles, rozgniewany jej uporem, chwycił ją siłą i wywlókł na asfalt.

— Tak, tak, Mady, nie warto mnie się opierać. To nie zawsze na zdrowie wychodzi. Za karę, moja mała, teraz się rozbierzesz tutaj i w stroju pramatki Ewy pojedziesz do domu.

— Jesteś podły, Charles!

— Nie szkodzi. Na twojej opinii tak mało mi zależy, że możesz wygadywać wszystko, co ci tylko na myśl przyjdzie. Tymczasem jednak musisz się rozebrać.

— Za nic na świecie nie uczynię tego.

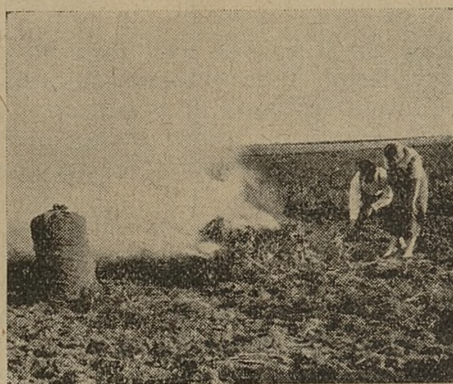
— Czy być może? — spytał Charlie głosem bazyliszka.

— Nie usłucham twojego nędznego rozkazu za nic na świecie — powtórzyła Mady.

— Zobaczymy. Hej, przyjaciele, czy słyszycie? Nadobna miss Mady nie chce uczynić zadość mojej grzecznej prośbie, ażeby raczyła pokazać swoje nadobne kształty w takiej postaci w jakiej w raju występowała pramatka Ewa.

— Potworze!

— Bardzo mi przyjemnie, Mady, że masz o mnie tak wysokie mniemanie, ale tymczasem, gołobączku, bądź łaskawa obnażyć swoje piękne kształty.



Tęsknota

Na wyrudziałe kartofliska
Powoli mrok wieczorny pada,
Rozmokła ziemia martwo błyska
I sennie mgła się włóczy blada.

Długa nić pajęcza się gdzieś miota,
I siné dymy znad ogniska,
I wielka snuje się tęsknota,
Przez wyrudziałe, puste rżyska.

Jurek G.

Mady wcisnęła się w na pół uchylone drzwiczki samochodu i kurczowo trzymała się jedną ręką niklowej sztaby wewnątrz, postanawiając sobie bronić się do ostateczności.

— No, Mady, czekamy... — powtórzył znowu Charlie.

Lecz miss Lie milczała, zaciąwszy mocno usta.

— Hej, Charlie dość tych ceregieli! — huknął czyjś głos. — Skoro grzeczność nie odnosi skutku, trzeba użyć siły. Będziemy mieli nielada widowisko!

— Słusznie, słusznie! — zawołano dokoła.

I zanim Mady zdołała się zorientować, już kilka rąk uczepiło się jej szat, zdzierając je z niej przemocą i nie zwracając najmniejszej uwagi na jej krzyki i błagania o pomoc.

Ulice były puste, policemana ani na lekarstwo. Dokoła tylko pijane twarze męskie, głosy zachrypłe, cyniczne słowa, wulgarne epitety...

W ciągu paru minut zdarto suknię z dziewczyny, zostawiając jej tylko pantofle na nogach. Potem wtłoczono ją do samochodu i kazano samej kierować wóz w stronę jej domu. Z przodu i z tyłu dziesiątki wozów towarzyszyły temu niesamowitemu konduktowi, który mknął teraz szybkim tempem w stronę oddalonej dzielnicy miasta, gdzie mieszkała aktorka.

W okolicy domu biednej Lie kazano jej się zatrzymać. Dwóch mężczyzn wywlekło ją z wozu i ująwszy pod ramiona, poprowadziły nagą, drżącą z chłodu i wstydu dziewczynę w stronę jej mieszkania. Tutaj zaś, zadzwoniwszy na oddźwiernego, porzucono ją samotną na ulicy, uciekając co tchu do swoich aut, którymi niebawem odjechali w drogę powrotną.

IX.

SŁAWA

Auto mknęło w szalonym pędzie drogą, po bokach której rosły wysokie drzewa. Szybkość samochodu z chwili na chwilę wzrastała, szeregi drzew przydrożnych poczynały tworzyć sklepienie białych i ciemnych plam. Nagle kierunek ruchu tych plam gwałtownie się zmienia. Reżyser, siedzący na otwartej platformie, śledził ucieczkę drzew i ich zmianę, a wybrawszy następnie jedno z drzew, uderzył w nie okiem obiektywu. Pień drzewa wypełnił całe zdjęcie. Potem przeniósł oko obiektywu na kierowcę, którego twarz wyrażała przerażenie. Parę obrotów korbką — zdjęcie gotowe.

— Stop! — zawołał następnie na kierowcę i auto się zatrzymało.

Jedno zdjęcie było gotowe — zdjęcie katastrofy samochodowej, którą widz ujrzy na ekranie i uwierzy święcie, że tak istotnie się zdarzyło. A to był tylko jeden pomysł więcej dobrego reżysera.

— Halo, mister Abalone! — zawołał reżyser do „oka-wytwórni", który jechał w drugim wozie za nimi. — Czy miss de Rieth jest z panem?

— Yes, mister.

— To dobrze. Proszę wysiąść, będziemy kręcić dalsze sceny.

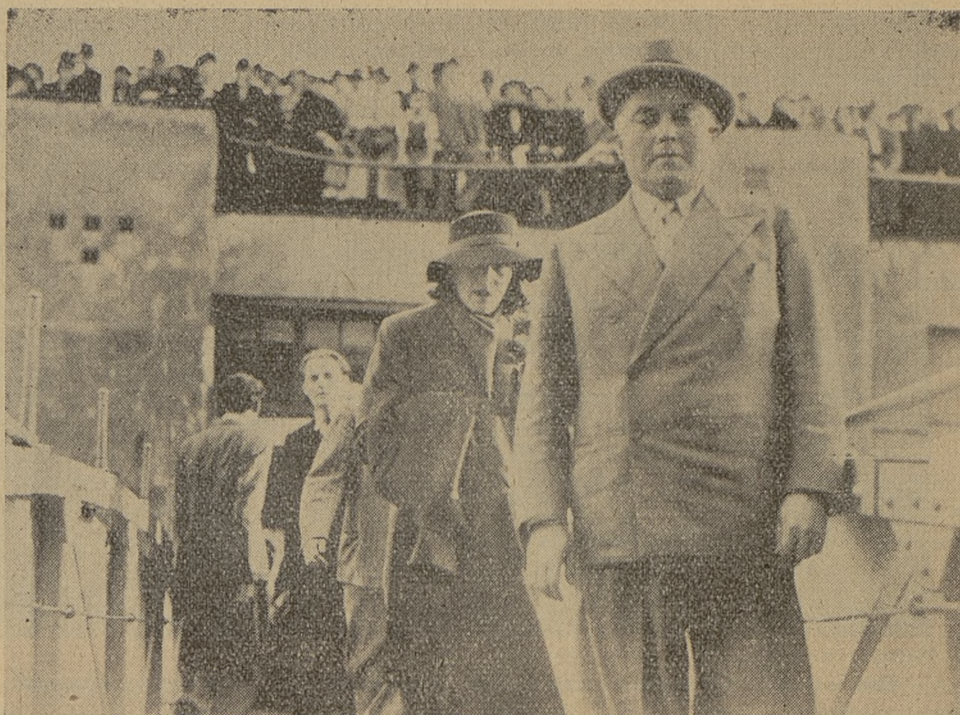
Grupa ludzi znalazła się na polnej, samotnej drodze. Wśród niej znajdowała się również i Kaja, która nagrywała pierwszy swój film.

Szła teraz drogą samotna, a dokoła kołysały się na pół dojrzałe zboża. W oczach Kai szkliły się łzy. Kamera operatora chwyciła błyskawicznie głowę idącej aktorki. Następnie reżyser zwilżył wodą obiektyw, aby osiągnąć efekt zdjęcia załzawionego. I podczas gdy Kaja odbywała tę wędrówkę samotną drogą polną, kamera stale jej towarzyszyła na wysokości głowy, ukazując tym samym widnokrąg z perspektywy, widzianej oczami bohaterki filmu.

Znowu donośny głos reżysera powstrzymał wszystko i zawołał członków wyprawy filmowej na jedno miejsce.

— Na dzisiaj dość — rzekł reżyser — południe dochodzi, a my od samego ranka jesteśmy na nogach. Czy pani nie zmęczona miss de Rieth?

— Nie, zdaje mi się jednak, jak gdybym wszystko to w rzeczywistości przeżywała. Nie sądziłam, że rolą swoją potrafię się tak bardzo przejąć.



Greta Garbo została uchwycona przez obiektyw aparatu fotograficznego w chwili, gdy wsiadała w Sztokholmie na pokład statku, by opuścić Europę.

— To dobrze, to bardzo dobrze — pochwalił mister Abalone. — Rola zagrana bez uczucia, jest bardzo słabą rolą.

— A tak bardzo bałam się tego mojego pierwszego występu! Tak się bałam, że pan reżyser, zdenerwowany moją niezaradnością, okrzyczy mnie i każe wynosić się do domu...

Mister Long, reżyser najlepszej klasy i marki hollywoodskiej, „człowiek w monoklu", jak go powszechnie zwano, uśmiechnął się tylko i naprzód zaproponował, aby wypocząć pod rozłożystym drzewem, które szumiało w podmuchach słabego wietrzyku opodal. Potem zaś, gdy się już wszyscy rozstarasowali, odpowiedział na słowa Kai.

— Prawdziwy artysta powinien zawsze mieć tremę — mówił. — Ten, kto tremy nie miewa przed występem, jest w ogólności marnym artystą. Przeszłość nas uczy, że nawet najwięksi koryfeusze sceny miewali paskudną tremę przed występem, a jednak sławie ich nic to nie ujmuje dzisiaj. Talma, ulubiony aktor Napoleona, po prostu bywał wypychany na scenę, a przecież zostaje on do dziś wielkim aktorem.

— Lecz to uczucie tremy, mister Long, jest bardzo nieprzyjemne. Serce bije gwałtownie, ręce drżą, niepokój czai się w twarzy... brr! Wolałabym nie miewać jednak tremy. Obawiam się też, że nasze dzisiejsze zdjęcia będą może nic nie warte i narażę się znowu na burę.

Long uśmiechnął się tylko łagodnie i dobywszy gazetę z kieszeni, zagłębił się w czytaniu. Abalone odszedł do techników i operatorów, aby tam wydać odpowiednie dyspozycje do drogi powrotnej, a pozostali aktorzy, z Kają na czele, leżąc na trawie pod drzewem milczeli. Naraz Long podniósł oczy znad gazety i zawołał prawie wzburzony:

— Tam do kata! Słyszeliście nowinę?

Wszystkie głowy podniosły się i oczy utkwiły w reżyserze.

— Cóż tam nowego, mister Long?

— Ted Healy zmarł. Lekarz nie chciał podpisać certyfikatu stwierdzającego, że Healy zmarł śmiercią naturalną. Wszczęto dochodzenie, które wykazało, że przed kilku dniami Ted bawił się w „Abderze" z jakimiś osobnikami, którzy go ciężko pobili. Pobicie to jest powodem śmierci sympatycznego Teda.

— O tej awanturze od kilku dni już chodziły ciche wieści — zauważył Abalone, który właśnie był nadszedł i wysłuchał ostatnich słów Longa. — Powiadają, że w „Abderze" znajdował się między innymi także Charles Sfiwt i że to on wywołał awanturę.

— Ten Sfiwt może pewnego dnia bardzo źle skończyć.

— O cóż poszło?

— Dobrze nikt nie wie, ale z tych niejasnych półsłówek, jakie krążą po rozmaitych wytwórniach, tyle tylko wywnioskować można, że w grę wchodziła kobieta.

— Kobiety zgubią Sfiwta, jak dwa razy dwa cztery — zawyrokował Long. — Dziwię się doprawdy temu człowiekowi. Tylu szaleństw już dokonał, a jednak wciąż ich ma za mało.

— A mnie to wcale nie dziwi — odezwała się Kaja — przecież ten człowiek całe życie pasał bydło i miał do czynienia tylko ze stadami. Dlatego w towarzystwach ludzkich nie bardzo potrafi się obracać.

— Mógłby się jednak czegoś nauczyć.

Long znowu zagłębił się w wertowaniu dziennika, a gdy go skończył, rzucił gazetę na murawę i powstał.

— Możemy wracać do domu — oznajmił. — Czas na jaki godziwy posiłek.

Ulokowano się wnet do samochodów i ruszono ku domowi. Pogoda była piękna, powietrze przejrzyste, jasne i tylko daleko na horyzoncie, gdzie niebo stykało się z ziemią, widzieć można było ciemniejsze smugi. W przydrożnych drzewach całe kohorty ptactwa zawodziły swoje pieśni w najprzeróżniejszych intonacjach, napełniając świat cały cudownym i radosnym rozgwarem.

Znalazłszy się w domu, Kaja rzuciła się na bujak i przez otwarte okno wchłaniała w siebie rzeźwe powietrze i wzrokiem biegła daleko na ocean, gdzie na kotwicach stały statki-olbrzymy, rysując się teraz tylko jako maleńkie punkciki, jak paczki zapałek na rozległym stawie.

Wszedł cicho mister Tear, przynosząc codzienną porcję listów, gazet i wszelkiej innej korespondencji. Nie było tego wiele, to prawda, ale dość jednak, aby zająć czas w ciągu dwóch godzin na przejrzenie tego wszystkiego. (C. d. n.)



Robotnik zatrudniony przy budowie wysokogórskiej autostrady pokrzepia się łykiem wody z oryginalnego naczynia

ROBERT GOFFIN

KAROLINA

CESARZOWA MEKSYKU

Z UPOWAŻNIENIA AUTORA PRZEŁOŻYŁA IRENA MACIEJEWSKA

Pewnego marcowego poranka w 1879 roku pałac w Tervueren ogarnął pożar. Cały dwór zrywa się ze snu, obudzony alarmującym krzykiem jednej z pokojówek. Przyboczny lekarz dr. Hart wraz z kilkoma damami dworu udaje się do cesarzowej, która uparcie odmawia opuszczenia łóżka i nie chce się ruszyć, patrząc spokojnie na pierwsze blaski świtu szarzejącego za oknem. Trzeba ją wreszcie ubrać przemocą i wyprowadzić z płonącego już na dobre pałacu.

O pożarze dano natychmiast znać na dwór w Brukseli. Wkrótce przyjeżdża na miejsce wypadku królowa Maria Henryka wraz z księżniczką Stefanią. Karolina, umieszczona w sąsiednim pawilonie, patrzy z zachwytem na olbrzymi pożar, rzucający krwawą łunę na widnokręg, na tle której rysują się ponuro szkielety starych dębów. Wszystko zdaje się płonąć w tym małym zakątku Brabancji. Podniecona cesarzowa chce powrócić do swych apartamentów, które przecież będą o wiele piękniejsze wśród czerwonych języków płomieni. Cała świta jest przy niej. Baron Goffinet, królowa i księżniczka starają się ją uspokoić, łagodnie do niej przemawiając. Nagle z ust Karoliny wyrywają się bezładne słowa i przeraźliwe okrzyki, rozbrzmiewają imiona Piusa IX, Napoleona, Habsburgów, a w chwilę potem ogarnia cesarzową melancholijny smutek, gdy patrząc na płonący pałac, powtarza w ekstazie: „Jakież to piękne, jakież piękne".

Cesarzowa musi opuścić swój park w Tervueren; odjeżdża ze swą bratową, wciąż odwracając głowę w stronę czerwonych płomieni i twierdząc, że wszystko to zapowiada jakieś okropne nieszczęścia. Mówi do siebie przez całą drogę i nie milknie nawet wówczas, gdy powóz zatrzymuje się przed pałacem w Laeken. Jest to ten sam pałac, w którym spędziła dzieciństwo, lecz nie budzi to w niej żadnych wspomnień. Cieniste aleje wielkiego parku zlewają się w jej umyśle z ogrodami w Cuernavaca; w czasie spacerów zwraca się nieraz w narzeczu meksykańskim do spotkanego ogrodnika; widma przeszłości wciąż jeszcze żyją w niej i zaludniają mroki nocy, w której jest pogrążona. W kwietniu 1879 roku Karolina opuszcza na zawsze pałac w Laeken. Oderwana od rzeczywistości, będzie odtąd dalej żyła w swym świecie snów w pałacu Bouchout, olbrzymiej posiadłości w Meysse, w pobliżu Brukseli, gdzie się król Leopold II przeniósł.

Nowa siedziba składa się z dwóch parków i dwóch pałaców. Jeden z nich przeznaczony dla Karoliny, został wzniesiony w XII wieku nad brzegiem stawu, po którym pływają białe łabędzie, jak ptaki romantycznej legendy, wskrzeszanej przez Ludwika II w Hohenschwangau. W drugim, położonym wyżej w pobliżu kościoła w Meysse, a należącym do barona d'Hoogvorst, umieszczono administrację dworu cesarzowej.

Karolina aż do śmierci będzie posiadała swój własny dwór, na czele którego wielki ochmistrz August Goffinet, będzie stał na straży całego cesarstwa meksykańskiego, obejmującego czterysta hektarów lasu, łąk, ferm i stawów.

Cesarzowa śni dalej swój nieprzenikniony sen, chętnie wyjeżdżając na przejażdżki po swej posiadłości. Niezrozumiałe jej odruchy budzą niekiedy w otoczeniu niepomierne zdumienie, a członkowie świty, dowiadując się z pism o wydarzeniach europejskich, konstatują z przerażeniem jakiś niepojęty związek między bezwładnymi na pozór rozważaniami obłąkanej cesarzowej a doniosłymi wypadkami historycznymi, którymi ona wydaje się niewidzialnie kierować.

Czy cesarzowa wspomina jeszcze swego syna, czy zastanawia się nad tym, co się z nim stało? Czy zapytuje swe otoczenie o los innych następców tronu? Czy rozmyśla o tym, że byłoby niesprawiedliwością, gdyby nieszczęścia, które ją dotknęły, nie odwróciły się ku winowajcom w tej samej formie w jakiej spadły na nią, by wreszcie dokładnie zrozumieli swą winę?

W roku 1879 o tej samej godzinie, w której ogień trawi pałac w Tervueren, wielki książę Ludwik Napoleon, wstępuje na pokład olbrzymiego okrętu „Dunaj", zdążającego do Przylądku Dobrej Nadziei. Wychowany w Anglii, z dala od Francji, w której pogarda otacza pamięć jego ojca i wspomnienie o nim, a do której pomimo wszystko chciałby powrócić, młody książę szuka okazji, by dowieść, iż nie jest tchórzem za jakiego go mają. Pewnego dnia dowiaduje się, iż oddział angielski został rozbity przez Zulusów w Isandhlouana na brzegach Blood River. Rząd brytyjski postanawia wysłać karną ekspedycję i książę, snujący w bezczynności marzenia o sławie, przyłącza się do wyprawy afrykańskiej.

„Czyż znajdę lepszy sposób, by dać dowód mej odwagi krajowi, którego uznanie zawsze można było zjednać dzielnością i męstwem? Moi nieprzyjaciele oskarżają mnie wciąż o tchórzostwo, a dotąd nie miałem okazji, by obalić ich niesłuszne przekonania... Teraz chodzi przecież tylko o wyprawę przeciw dzikusom. Żaden interes europejski nie wchodzi tu w grę".

„Będę mógł wykazać, iż nie jestem tchórzem, za jakiego mnie mają, a gdy dowiodę, że potrafię narażać życie dla obcego kraju, nikt już nie będzie wątpił w to, że nie będę go szczędził dla mej ojczyzny. Bezczynność mnie zabija, czy chcielibyście, bym zwiądł i umarł z nudów jak książę Reichstadtu".

W końcu marca Ludwik jest już na Przylądku i oczekuje z niecierpliwością wyruszenia do górnego Natalu, w stronę Dundee lub na wybrzeża „Krwawej Rzeki", gdzie toczą się walki. Wkrótce udaje się do Durbanu, skąd wschodnim wybrzeżem, poprzez wydmy i bagna, zdąża do Natalu.

W czasie podróży pisze list do M. Pietri'ego:

„Od trzech dni jestem w Maritzburgu. Jutro wyruszamy do Ladysmith. Stamtąd generał zamierza skierować się na Dundee, gdzie dokona koncentracji naszych sił, poczem pomaszerujemy do Transvaalu, by połączyć się z generałem Wood. Tam też rozpoczną się działania ofensywne".

12 maja wielki książę opuścił Dundee i skierował się na północ ku „Krwawej Rzece". Wkrótce kolumna znajduje się w centrum zuluskim i po ataku na bagnety zdobywa niewielki kraal, w którym pozostały tylko kobiety. Na cześć księcia, biorącego udział w tej walce wioska została nazwana Kraalem Napoleona.

27 maja oddział zbliżył się do Kopie-Allein i po dwóch dniach książę idzie z rekonansem w kierunku grzbietu górskiego Draken-Bergen.

1 czerwca są wydane rozkazy dalszego marszu i przed wyruszeniem Ludwik Napoleon pisze do matki ostatni list: „Piszę do ciebie w pospiechu na karteczce wydartej z mego notesu; za kilka minut wyruszam na lewy brzeg „Krwawej Rzeki", by wybrać miejsce dla obozowania drugiej dywizji. Nieprzyjaciel koncentruje swe siły i najdalej za osiem dni nastąpi walne starcie".

Dowódcą eskorty zostaje mianowany kapitan Carey. Jeźdźcy defilują przed pułkownikiem Harrisson'em i giną w gęstwinie. Odtąd są już w mocy Zulusów, którzy strzegą wszystkich przejść, wąwozów i kamienistych stoków, nadsłuchując tę-

tętu koni, zwiastującego zbliżanie się białych. Z poza zakrętów ukazują się nagle kobiety o grubych wargach kafrów i uciekają z przeraźliwym krzykiem. W południe oddział zatrzymuje się w zacisznej dolinie i po śniadaniu zmęczeni jeźdźcy układają się w trawie do snu, mając wyruszyć dalej o wczesnym zmierzchu. Wielki książę śni o Paryżu i o utraconym tronie. Nagle rozlega się przeraźliwy okrzyk: Zulusi. Oddział wojska ucieka w rozsypce. Konie galopują w cieniu nadciągającej nocy; Ludwik Napoleon chce wskoczyć na swego wierzchowca, lecz w pospiechu nie trafia na siodło i spłoszony koń wlecze go w głąb zarośli. Za nim pędzą Zulusi. Popręg siodła pęka nagle, wielki książę pada na ścieżkę, koń pędzi dalej bez jeźdźca. W godzinę później rozproszeni jeźdźcy gromadzą się, lecz brak pośród nich jednego: nieobecnym jest książę Ludwik Napoleon.

Nazajutrz generał Chelmsford odnajduje Jego Cesarską Wysokość Ludwika Napoleona na brzegu „Krwawej Rzeki". Obok niego leży tylko niebieska skarpetka z literą N. Żegnajcie sny o wielkości, nadzieje panowania, potęgo monarchii! Następca tronu Cesarstwa Francuzów został zamordowany przez Zulusów, którzy mu zadali lancami dwadzieścia siedem głębokich ran. Tej samej nocy, w której Ludwik Napoleon zginął w kraju Zulusów, straszliwy huragan szaleje w parku Camden-Place, gdzie przebywa cesarzowa Eugenia. Jedno z olbrzymich drzew wali się w ciemnościach z hukiem, złe przeczucie napełnia serce oczekującej matki.

10 lipca wpływa do portu w Spithead statek, na którym znajdują się zwłoki pretendenta do tronu francuskiego; rozlegają się salwy armatnie, bonapartyści łkają na pokładzie żałobnej „Enchantress", są tu i Pietri, i książę Murat, i hrabia de Saint Jean d'Angely, i hrabia Davillers, Bourgoing, Bassano, Aguado, Ludwik de Turenne, Rouher — kwiat najlepszego towarzystwa, bywającego niegdyś na dworze cesarza w Compiegne i w St. Cloud. Na drugi dzień Ludwik Napoleon zstąpił do krypty w Chislehurst a wraz z nim wszystkie nadzieje odrodzenia cesarstwa.

„Czas biegnie, czas mija" — mawiał Ronsard. Suwereni odchodzą, trony się walą, a Karolina jakby skazana na wieczność trwa wciąż w wirze wydarzeń dziejowych. W marcu 1881 cesarz Aleksander II, imperator Rosji, pada ofiarą zamachu. Jakiś zły wicher dmie na panujące dynastie, znikają trony, suwereni drżą o swych następców.

W Bawarii Ludwik II opłakuje śmierć Wagnera, jedynego człowieka, którego ukochał ponad wszystko. Król opuszcza swój pałac w Neuschwanstein o wielkiej sali śpiewaków, oświetlonej 549 świecami i udaje się do nowego pałacu w Herremchiemsse, gdzie urządza widmowe przyjęcia dla duchów wszystkich zmarłych cesarzy. Objawy niepoczytalności umysłowej stają się coraz wyraźniejsze. W czerwcu 1866 Rada Regencyjna postanowiła internować chorego króla. Ludwik II zostaje umieszczony w Burg i wkrótce, w noc Zielonych Świąt 1866 r. na brzegach jeziora Starnberg rozbłyskują światła latarni, przy których chłopi odszukują ciało króla. Ludwik II w czasie przejażdżki po jeziorze utonął wraz ze swym przybocznym lekarzem. Cesarzowa Elżbieta płacze w Possenhofen, nad śmiercią tego, którego może kochała. Cesarzowa Karolina wolnymi krokami krąży po swym „cesarstwie meksykańskim", w posiadłości Bouchout.

Karolina ma już 46 lat. Pomimo przeżytych nieszczęść pozostała zawsze piękna i wciąż przebywa w swym zaczarowanym świecie, z którego nic nie zdoła już jej wyrwać. Chapultepec znajduje się tam, z lewej strony, Cuernavaca leży w górnej części Meyssa, staw symbolizuje jezioro Xochimilco, członkowie świty przybierają w jej wyobraźni postacie meksykańskich ministrów. Duch Maksymiliana krąży wokół niej i cesarzowa często rozmawia ze swym ukochanym mężem.

Ludwik Napoleon, Ludwik II! To jeszcze nie wszystko! To dopiero zwiastuny groźnej przyszłości, to pierwsze złowrogie sygnały; godzina Habsburgów jeszcze nie nadeszła, ale jest już niedaleka. Trzeba, aby Franciszek Józef doznał wielu cierpień, aby patrzył przez cały czas długiego panowania na podwójne wygasanie dynastii.

W 1888 roku Wiedeń tańczy jeszcze beztrosko przy dźwiękach czarownych walców, których upojną melodię Johan Strauss snuje na dworskich balach. Piękni oficerowie jeżdżą konno w alejach Prateru, a na ich widok szlachetnie urodzone młode panny, zażywające wiosennych przejażdżek w otwartych powozach, marzą o miłości i patrzą z zachwytem na mundury o złotych guzikach.

Często galopuje wzdłuż alei arcyksiążę Rudolf jakby pragnąc stłumić w szalonym pędzie dręczący go niepokój. Serca wielu kobiet biją gwałtownie, na widok Kronprinza. Rudolf jest jednak zblazowany życiem. Ma kochanki, których nienawidzi, najpiękniejsze damy z półświatka usiłują go zdobyć w czasie hulaszczych zabaw w restauracji Sachera; marzą o nim księżniczki i wytworne arystokratki. Miłość jest najważniejszą sprawą jego życia, lecz on nie kocha nikogo. Zbyt łatwe zdobycze nudzą go i trzeba będzie dopiero niemożliwych do pokonania przeszkód i nieprzezwyciężonych trudności, by obudzić jego serce. Umysł jego zaprząta myśl jak zdobyć piękną, młodziutką hrabiankę Marię Vetsera, która nigdy nie wychodzi bez opieki i z którą w żaden sposób nie będzie mógł spotkać się sam na sam. Niewykonalny na pozór zamiar podnieca go i wkrótce, dzięki niesłychanym kombinacjom, piękna Maria zostaje jego kochanką. Hrabianka ma zaledwie osiemnaście lat. Dla upamiętnienia chwili, w jakiej oddała się ubóstwianemu Rudolfowi i była gotowa wszystko mu poświęcić, otrzymała pierścionek z wyrytą datą: 12 kwietnia 1888 r. Błogosławiony dzień, w którym Maria Vetsera zerwała ze wszystkimi tradycjami, z całą moralnością, z nakazami rodzinnymi, w którym wyrzekła się radosnego życia młodej i pięknej baronówny, by należeć do Rudolfa Habsburga! Cesarzowa z lewej ręki. Maria śni o swym ukochanym, widzi w marzeniach wspaniałe dworskie przyjęcia i fanfary na dziedzińcu pałacu schoenbrunskiego, czuje na swych czarnych włosach ciężar korony, uśmiecha się na myśl, iż ubrana w mundur generała będzie przyjmowała u boku Rudolfa wojskowe defilady. Umysł jej pracuje gorączkowo nad stwarzaniem wciąż nowych pretekstów, by móc wymknąć się z domu i połączyć się w tajemniczych apartamentach Hofburgu ze swym ukochanym, podczas gdy Loscheck, oddany kamerdyner arcyksięcia, czuwa przy drzwiach, nadsłuchując kroków arcyksiężnej Stefanii. Wkrótce tajemne marzenia młodej dziewczyny stają się rzeczywistością, miłość ogarnia płoche serce Rudolfa. Lecz jakże ją utrwalić? Jak uczynić z tej chimerycznej miłości istotną treść codziennego życia? Trzeba przezwyciężyć los. Rudolf nie wie, iż jego małżeństwo z księżniczką belgijską Stefanią jest pieczęcią na tajemniczym akcie, łączącym od r. 1866 dwie rodziny panujące. Rozwód jest niemożliwy, Franciszek Józef nie dopuści do unieważnienia małżeństwa przez Rzym.

A może istnieje możliwość zamachu stanu, dzięki, któremu zastępca tronu otrzymałby władzę i stał się niezależnym? Wszak arcyksiążę Jan Salwator wspominał o wzburzeniu w armii, które należało by wykorzystać dla swoich celów.

Mijają miesiące, hrabina Larisch, jak archanioł nieszczęścia pełni rolę pośrednika między Rudolfem a Marią, zamieszkującą w pięknym pałacu przy ulicy Salezianergasse. Nadchodzi chwila, gdy Kronprinz staje w sytuacji bez wyjścia. Urażona

Ciąg dalszy na str. 853.

KRAINA SZCZEROŚCI I NASZYCH TROSK

W DZIEŃ MIŁOSIERDZIA

Jest taki dzień wybrany
spośród dni szarych wydarzeń,
gdy szczęście ludzką niedolę
radością nagle obdarzy...

Kiedy je natchnie dobrocią,
i przywiązaniem miłości —
kiedy w nas święto spokoju
i pocieszenia zagości...

Cieszymy się na tę chwilę,
boć w całym życiu nas dwoje!
— Powiedz — dokąd pójdziemy,
maleństwo moje?

Przeraża nas rozgwar miasta,
ulice zawiłe i kręte —
idziemy — po miłosierdzie
wraz z słonkiem uśmiechniętym...

Na drżących usteczkach waszych
szept zawisł matczynych pacierzy...
O, chwil tych — nie pamiętacie —
za krańcem — przeszłości leżą...

Jest taki dzień wybrany
gdy słonko nie blednie:
dzień „miłosierdzia ludzkiego"
dla was... — maleństwa biedne...

Józef Baranowski.

DOBRE RADY PANI ZOFII

REZULTAT JEST!

P. J. Cz. — Kalwaria. Wzięłam pod uwagę wszystko, co mi Pani napisała o swej siostrze i na pracę jej popatrzyłam przez pryzmat niniejszego zdania Pani: „Uważam, że utrzymanie jednego człowieka przy życiu, danie mu bodźca do męczącego choćby nawet życia, do znoszenia jego cierpień i choroby jest drobnostką dla ludzi obcych, a zagadnieniem dramatycznym dla bliskich. A jednak obcy, gdyby zadowolenie nieszczęśliwca nie było dla nich taką drobnostką, mogliby dla niego otworzyć nowy świat, w którym czułby się dobrze, który przesłoniłby mu swoją treścią ciężką osobistą dolę i pchnął na górne tory dzielenia się z ludźmi tym wszystkim, co dobrego posiada w sobie".

Mogliby — mówiła Pani. Rezultat jest już wiadomy — prawda?

Cieszy mnie on równie, jak Panią, która jesteś jedną z tych bliskich, cieszy, choć sama należę do tych obcych.

Pozdrawiam serdecznie i szczerze!

NOWA „KRAINIANKA"

„Nadmorska Syrena". Przyjmuję Panią do „Krainy" z miłym życzeniem, abyś się w niej czuła dobrze.

Nowa nasza Sympatyczka jest urodziwą panienką o ciemno-blond włosach i roześmianej buzi. Lubi korespondować i dlatego prosi „Krainiaków" o listy. Odpowie chętnie i może zarazi niejedną i niejednego swoją pogodą i weselem.

Życzę Pani dużo przyjemności i pozdrawiam.

TAK DUŻO...

Tak dużo listków na wodzie,
Strąconych ręką jesieni,
Koralem się czerwieni
I po martwym jeziorku brodzi.
I drzewa mrą w szarej zieleni,
A smutek ogromny się rodzi,
Że urok pryska i odchodzi
W dni głuche i bez promieni.
Nad jeziorkiem łka las szumny
I słoneczko krwawo zachodzi,
A listków tak dużo na wodzie
kładzie się na dno trumny.

Przeklęta Iwa.



„Wędrowny Trubadur" strofami wiersza prosi Was, Mili „Krainiacy", o przyjęcie do „Rodzinki":

DROGA „RODZINKO!"

Przyjmij mnie w swoje przyjacielskie grono
I dobrym słowem dodaj mi otuchy,
Bym piękno kraju całym sercem chłonął
I dzielił z Tobą, jak z serdecznym druhem.

Różne wrażenia z nieznanej dziedziny,
Chodząc po Polsce, zbieram obficie.
Dziś pukam do wrót tej miłej „Krainy"
I do serc Waszych — czy mi otworzycie?

„Wędrowny Trubadur."

NIE WIEM...

„Dafne". Miło mi dowiedzieć się, że rozmowa ze mną dała Pani zadowolenie, a to, że nie napisałaś szybko po swej wizycie w mojej redakcji — nie gra żadnej roli!

Zgadza się wszystko o tym kimś, o którym mi Pani pisała, tylko zaznaczyć muszę, iż człowiek to dobry i nienależących do kalkulatorów. Niejednej osobie już pomógł w ciężkiej biedzie moralnej i materialnej, a przy tym ogromny społecznik!

Dziękuję za fotografię, ale nie wiem dokładnie, czy przeznaczyła ją Pani dla mnie prywatnie, czy do zbioru fotografij „Krainiaków"?

Może mi to Pani wyjaśni? Pozdrawiam i czekam!

A teraz oznajmiam „Zbijobrukowi poznańskiemu", że serdecznie go Pani pozdrawia i czeka na list"!

DAWNO JUŻ!...

„En-Ka". Dawno już nie rozmawialiśmy z sobą, Przyjacielu! Tak dawno, że aż to, co poruszasz w swym liście, to znaczy zjazd krainiacki — straciło dokładnie na aktualności. Ale to nic! Ludziom, którzy się lubią wystarczy czasem kilka słów — czyż nie tak?

Do moich „kilku słów" należą przede wszystkim dobre życzenia dla Ciebie!

Bądź mi Pan wesoły i szczęśliwy!

„Złośnico"! Chciałbym pewnego dnia otrzymać od Ciebie liścik lub też zapewnienie, że Pani mi odpisze. Czy zgodzisz się pierwsza napisać do mnie? Dlaczego ten pseudonim? Czy zgadza się z charakterem Pani?

„Lucyna". Chciałbym poznać Ciebie, względnie nawiązać kontakt listowny, gdyż jeszcze w tym roku wybieram się na wędrówkę po Polsce i nie ominę Lwowa".

NA ADRES ADMINISTRACJI

„Jadźka z kiosku". Cieszy mnie, że masz zamiar zaprenumerować „Moje Powieści", przestając kupować pojedyncze numery. Będzie to i dla Ciebie korzystniejsze, bo zamiast 30 gr. za pojedyńczy egzemplarz, będzie płaciła 1 zł. w prenumeracie miesięcznej.

Zamówienie poślij na następujący adres: Administracja „Moich Powieści", Żnin, ul. Śniadeckich 8.

Pozdrawiam Cię serdecznie i zamieszczam komunikaty:

„Halo! „Reniu z Kujaw" — ślę ci serdeczny uśmiech!

„Koralowe Usta" — podobasz mi się z pseudonimu, skrobnij do mnie kilka słów.

„Szyderca" — na pewno nie jesteś taki, jaki masz pseudonim. Ślę pozdrowienia.

„Jasiu — Sokole"! Co porabiasz? Ślę Ci serdeczny uścisk dłoni!

„Wierna" — ślę Ci miłe ukłony. Napisz do mnie.

„Bajko" — ślę Ci wagon całusów!

„Niezapominajko", „Semarito", „Uranie", „Samotny", „Młody Orle" — napiszcie do mnie!

Dla całej rodzinki i P. Zofii ślę miłe ukłony!

ZA GŁOSEM PIEŚNI...

Matko! od twoich jam odbiegła kolan
jak dziecię biegłam w dal za głosem pieśni...
Chleb, który-m jadła, był często łzą polan
I nigdy błogi sen już mi się nie śnił.

Zawsze przed siebie gnała mnie tęsknota,
Aż raz na ziemię z głośnym padłam płaczem.
O, duch mój długo z bólem się szamotał! —
Tęskniłam srodze, sama nie wiem, za czem.

Z żalem patrzałam w swą przeszłość promienną
I gdy w dotkliwej rozczarowań męce
Tyle chmur czarnych zawisło nade mną,
W duszy wskrzeszałam ułudy dziecięce.

Jam zawsze smutek otrząsała z czoła
I w mroczne jutro wyciągałam dłonie
I naprzód biegłam, gdy głos pieśni wołał,
Wierząc, że jasny świt dla mnie zapłonie.

Matko, tak nęcił mnie dźwięk tego głosu!
Biegłam, choć smutek legł na moim czole.
— — — — — — —
— Lecz nigdy swego nie przeklinam losu,
Choć zamknął ducha w dróg obłędnym kole.

„Jadźka z Kujaw".

GDY NADEŚLESZ

„Mary". Zdjęcie (to małe) jest rzeczywiście trochę niewyraźne — schowam je na pamiątkę, a w „Krainie" zamieszczę to, które mi nadeślesz.

Widzę z Twego opisu, że sporo objechałaś świata, a teraz zapewne tęsknisz za jakąś nową ciekawą podróżą?

Napisz mi dużo, dużo, a na razie przyjmij moje pozdrowienia!

„Szyderco", J. Baranowski, i „Dyktatorze" — może odezwiecie się do mnie?

„Kresowiaku z Leszna"! Może Pan do mnie napisze? Znam doskonale to miasto, bo mieszkałam tam przez 8 lat".

ZAWSZE

„Skowronek". Cieszy mnie, Maleńka, że u Ciebie wszystko w porządku. Niech tak zawsze będzie!

„Wesoły Broneczku", pozdrawiam!

„Zawiedziony" — życzę wszystkiego najlepszego!

„Smutna Czarnulo", napisz pierwsza i proszę o adres.

„Kalino", proszę napisać do mnie, może... może się zrozumiemy.

Pozdrowienia zasyłam: „Reni z Kolna", „Jadzi", „Uśmiechniętej Wandulce", „Adzie Marzycielce", „Szydercy"! „Zefirze Zachodu"! Nie ma takiej, dla której dałeś pozdrowienie — zgadnij, kim jestem?

„Dzika Cyganko" — (jest to Twój dawny pseudonim, nowego nie znam) zgadnij, kim jestem? Znam Ciebie. Czy zamieszkujesz w Kit......? Proszę napisz do mnie, czekam!

Serdeczne pozdrowienia całej „Krainie"!

RZEŹBA W STARYM KOŚCIELE

O Piękna! dzisiaj przed zdumionym okiem,
Jak objawienie sztuki dane światu,
Stoisz przede mną, w pełni majestatu —
Owiana wielkiej przeszłości urokiem!

O Piękna! duch mój przed tobą się korzy —
Boś Ty powstała w pełni łaski Bożej.
Chciałbym klęknąć, złożyć kornie dłonie. —
Wzrok, — w cudnych kształtach Twych gotyckich
tonie,

I myślą wzlecieć, wzlecieć hen, w świat ów stary,
Gdy wstawał olbrzym — natchnienia i wiary,
Gdy po raz pierwszy z katedry proga —
Hymn się podnosił na cześć i chwałę Boga!

Minęły wieki: widmo buntu krwawe
I tu wtargnęło, zbeszcześciło nawę
Domu świętego, — lecz gdy zmilkły wrzaski
Ofiar przewrotu — w nowe świetne blaski,

Poczęła stroić się świątynia Pana.
Dzisiaj stoisz świetna, nieskalana —
Piękna, tą Boską pięknością geniusza,
Który natchnienie czerpał całą duszą.

Zbigniew Wicherek.

PRZYJMUJĘ!

„K. R.“ Przyjmuję Panią chętnie do naszego grona, lecz pseudonim proszę sobie obrać inny. „Samotna i młoda staruszka“, to shocking!

Prosi mnie Pani o kilka słów pokrzepiających, ale o jakie pokrzepienie Ci chodzi?

Przecież nie wiem o Pani nic! Proszę mi przysłać obszerny list, a nie wątpię, że będę miała dla Pani tak samo uczucia przyjazne, jak mam je dla wszystkich moich „Krainiaków“.

Życzę Pani dużo jasnych chwil i uśmiechów promiennych i czekam!

UWAGA!

Katarzyna Gąsewiczowa z domu Grencewicz, zamieszkała w Wągrowcu, ul. Polna 34, poszukuje Józefa Sapnora.

Wymieniona pochodzi z Litwy — miasteczko Retowo — a mieszkała przed wojną światową w Rydze na Łotwie.

Kto zna adres p. Józefa Sapnora, jest proszony o podanie go Redakcji „Moich Powieści“ — ul. Śniadeckich 8.

KORZYSTAJ Z CHWILI!

Wierszyk ten poświęcam Pani Zofii za Jej oddanie i kochane serce.

Żywot człowieka istnieje krótko:
Mało radości, a dużo smutku.
Gdy się więc chwila radosna zdarzy,
Łap ją czymprędzej i bądź na straży!
Inaczej pryśnie moment uroczy
I próżnia życia znów Cię otoczy,
I wierzaj, ciężko Cię to zasmuci,
Gdyś to coś stracił — już nie powróci.

I. H.

TO JUŻ REALNE!...

„I. H.“ Nie straci Pani serca, które pragnie pozyskać, o, nie! Natomiast pozyskanie to stało się już realne. Ujęła mnie Pani niesłychanie swoim listem i doprawdy czuję się aż zażenowana słowami jej uznania.

Bardzo też dziękuję za te piękne szarotki na skałach — ta pocztówka przysporzyła mi moc radości, bo po pierwsze przepadam za tym skromnym, a tak cudnym górskim kwiatem, a po drugie mam w redakcji zbiór pięknych pocztówek, który powiększył się dzięki Pani o jedną doskonałą sztukę.

Słusznie Pani zauważyła, że lubię góry — marzę o tym, aby tam znowu kiedyś móc pojechać. Przy okazji „zdobyłabym“ kilka ładnych szarotek i dałabym je oprawić w ozdobny szklany tablet.

Szarotki są kwiatem ogromnie dekoracyjnym i oryginalnym i winno się to umieć wykorzystać.

Tak „specjalnie“ zaadresowała Pani list do mnie, że w pierwszej chwili nie wiedziałam do kogo on należy.

Pyta mnie Pani o nazwisko — otóż znajdzie je Pani na ostatniej stronie naszego tygodnika w rubryce informacyjnej.

Wierszyk zamieszczam poniżej i dziękuję za dedykację. Inne swoje utwory proszę nam również przysłać do oceny.

Nie dziwię się, że poczuła Pani tyle sympatii do „Smutnej i brzydkiej Irki“ i że mocno prosisz ją o list, obiecując w zamian słać jej piękne pocztówki z Podhala, bo jest to dziecina rzeczywiście zasługująca na sympatię. Irka zatem winna napisać do p. „I. H.“ zwłaszcza, że jest o to mocno proszona!

Pozdrawiam Panią bardzo serdecznie i oczekuję nowego listu!

„Krainiakom“ przesyła nowa nasza Sympatyczka „kopertę pełną góralskiego powietrza“!

DZIĘKUJĘ CI!

„Wierna“. Widzę z Twego listu, że należysz do ludzi niesłychanie pracowitych i pożytecznych — cieszy mnie to! Pracuj dalej, ale nie zapominaj też o miłych i kulturalnych rozrywkach, jak dobry film, teatr, odczyty i festiwale muzyczne. Okazję masz po temu niejedną.

Ze zajęć, nadesłanych mi przekonałam się, że wakacje spędziłaś dobrze. Dziękuję Ci też za ofiarowane mi zdjęcia, skorzystam z nich przy okazji, n. p. gdy będę miała jakiś stosowny wierszyk do zilustrowania. A czy Twoją fotografię mogę zamieścić w „Krainie“?

Aha! O mało, a byłabym zapomniała powiedzieć Ci, że nie mogę odczytać Twego nazwiska, może będziesz uprzejmą przysłać mi powtórnie swój dokładny adres. Jest mi potrzebny na wypadek, gdy wpłyną dla Ciebie listy.

Życzę Ci moc radości na teraz i na przyszłość — pisz!

„Halo! Dlaczego zamilkłeś, „Ikarze II“??

Czy P. K. J. z Warszawy, to p. Kowalski Jan? O ile tak, to się znamy!

Miłe pozdrowienia dla 13-tki — lubię trzynastkę, noszę nawet podkówkę z 13-tką, jako ozdobę - fetysz.

Całą „Krainę“ pozdrawiam i proszę o pamięć!

ZMIENIONY PSEUDONIM

„Mira“. Droga Dziewczynko! Ogromnym smutkiem przejęło mnie to, co mi napisałaś — rzeczywiście los Cię ciężko doświadczył, ale nie poddawaj się depresji psychicznej, myśl o tym, że Bóg najlepiej wie, co czyni i niezbadane są zamiary Jego.

Fotografie Twoje bardzo ładne — schowałam je do albumu, bo zdaje się nie chcesz, abym je reprodukowała w „Krainie“. A szkoda, bo tak pięknie wyglądasz w stroju myśliwskim!

Pseudonim Ci zmieniłam na ten, pod którym piszę dziś do Ciebie. Chyba Ci odpowiada — co?

Dawno już nie miałam listu od Ciebie, czy może jeszcze nie otrząsnęłaś się z koszmaru swego cierpienia? Koniecznie musisz zapomnieć, koniecznie — pamiętaj!

„Krainiakom“ polecam tę dobrą, ładną, a ostatnio tak ogromnie smutną panienkę — proszę jej posłać dobre, serdeczne słowa.

Całuję Cię, Kochana Moja, i czekam na słów bodaj kilka!



Ta piękna Japoneczka, to nasza dobra znajoma — „Uśmiechnięta Jasieńka“.

WYJAŚNIENIE

„Sympatyczny Hebi“. Nowy ten członek naszej „Rodzinki“ doniósł mi, że pomyłkowo umieściłam pod jego fotografią w nr. 40 „M. Powieści“ podpis „Naturalny“, zamiast „Sympatyczny Hebi“. Dlatego to dziś podaję do ogólnej wiadomości niniejsze wyjaśnienie.

Na maszynie możesz pisać zawsze — nawet wolę takie listy.

Cieszy mnie, że zadowolony jesteś ze swej przynależności do naszego grona i życzę Ci dużo radości!

Komunikaty:

„Wicha“ — czołem Tobie, Blondynko!

„Sporismenko z Kujaw“. Zróbmy partię tenisa, choćby na odległość — może się zobaczymy?

„Chochlik“. Umieścili nas obok siebie — mamy jedno i to samo zajęcie.

Czołem całej „Krainie“!

TROCHĘ UŚMIECHU I RADOŚCI

„Miguela“. Ta miła Dziewczynka prosi nas bardzo o przyjęcie i jej do „Rodzinki“ — myślę, że bardzo chętnie uczynimy zadość jej prośbie.

Czuj się, jak wśród swoich i dziel z nami radości i smutki, Dziecino!

Posyłam Ci sympatyczny uśmiech i przechodzę do komunikatów:

„Halo! „Pell“, „Fredzie“, „Przybłędo Leśny“ — może skreślicie do mnie choć kilka słów?

Która z „Krajnianek“ wniesie w moje życie trochę uśmiechu i radości, nauczy mnie być wesołą i zadowoloną?“

NIESTETY!

„Leon“. Wierszyk Pana jest tak słaby, że nie mogę, niestety, go zamieścić. Przykro mi bardzo, ale nie mogę!

Numer 29 kazałam Panu wysłać!

Co u Pana nowego? Czy smutek rozproszyłeś już trochę przy wydatnej pomocy codziennych zajęć? Życzę Ci tego z serca!

TECZKA wuja Janusza

TY I WSZYSCY!

„Czarodziejka“. Do teczki wierszy dobrych do druku odkładam: „Cicha wioska“, „Wróć“, „Wiosno, moja wiosno!“, „Na nic marzenia!“, „W zimowy dzień“, „Na Gromniczną“, i „A gdy wspomnienie zadzwoni“.

Proszę, abyś Ty, jak również wszyscy, którzy przysyłają mi wierszyki do oceny, pisała je po jednej stronie papieru — druga winna być czysta.

Czekam na nowy transport wierszyków i zasyłam życzenie pomyślności!

NAD JEZIOREM

„Sarence“ poświęcam.

Błękit w górze, błękit w dole,
niezmierzone wód przestrzenie — —
i pieszczota fal na czole,
cisza jasna... ukojenie!...
Nad jeziorem zadumane
stoi dziewczę — fale szumią,
wiatrem lekko kołysane,
...może żale czyjeś tłumią?
W połyskliwej, drżącej toni
dziwe skryte i wodnice,
wzrok dziewczyny fale goni — —
fale znają tajemnicę!
...By wieść żywot rusałczany,
tęskne serce żal przenika,
oj, zobaczyć złe bałwany,
dwór z bursztynu, w nim... wodnika!!!
Słońce spadłszy z góry w tonie,
w złote się stopiło płaty —
dziewczę patrzy... czy to płonie
dwór wodnika przebogaty?! — —

„Czarodziejka“.

OCENIĘ PÓŹNIEJ!

„Maryśka K.“ W danej Ci już odpowiedzi zaznaczyłam, że wierszyk p. t. „Czy kocham?“ pójdzie w Teczce, a oto dziś go drukuję, lecz z zaznaczeniem, że jest raczej słaby.

Resztę Pani skryptów przejrzę później i wydam ocenę. Na razie całuję łapki i proszę o cierpliwość!

CZY KOCHAM?

Już nas tygodnie od rozstania dzielą
i nie wiem czemu tak się losy ścielą,
że ty milczeniem płacisz za me słowa.
Czyżby tęsknota twa nagle uciekła —
czy może inna czarem swym urzekła —
czy też urazę do mnie w duszy chowasz?
Tak się na próżno nad zagadką biedzę,
gdy wieczorami zamyślona siedzę
rzucając w przestrzeń naiwne pytania:
Czemu nie mogę zapomnieć twych słów —
czemu tak miło brzmią mi w uszach znów
choć może były tylko grą — bujaniem?
Zdaje mi się — nie kocham — chociaż... może...
lecz nie! — na samą myśl o tym się trwożę.
Czuję twe usta do oczu przywarłe.
Oną tęsknotę twój obraz wyryty,
wspomnieniem pieszczot do duszy się wpiły —
ślad zostawiły głęboki — niestarty.

„Maryśka K.“

3 WIERSZE DO DRUKU

„Szara Fala“. Mam tu przed sobą cztery Pani wiersze: „W godzinę smutku“, „Żyć warto!“, „W noc...“ i „Z daleka...“

Do druku zakwalifikowałem utwory pt. „W godzinęs mutku“, „W noc“ i „Z daleka“. Z tych „W godzinę smutku“ idzie w dzisiejszym numerze, pozostałe odłożyłem do teczki wierszy, przeznaczonych do druku.

Pozdrawiam Panią przyjacielskim uśmiechem i życzę dalszej owocnej pracy!

W GODZINĘ SMUTKU

Wiatr za oknami złośliwie wyje —
Bezsilne drzewa przegina, targa...
A w mem sercu się lęk jakiś kryje
I jakaś dziwna zgłuszona skarga.

Ach, to już pewnie koniec radości —
Już wnet tęsknoty głos się odezwie,
Serce, do starych życia trudności,
Do dalszej walki z tęsknotą wezwie.

O! jakże dusza ma będzie smutna,
Po tej mej cichej radości stracie.
Wiem, że nim drogę przejdę okrutną,
Nieraz ja sobie gorzko zapłaczę.

W. Kreftówna.

GDZIE JEST TO SZCZĘŚCIE?...

Gdzie jest to szczęście dalekie, nieznane,
co w przedwieczornych zórz długie godziny
szeptały o nim twe usta kochane:
Sen niespełniony, najdroższy, jedyny? — —
Serce zbolałe od upojnych wzniesień,
osamotnione czeka na twój powrót.
Nadchodzi smutna i ponura jesień,
ze zgrzytem życia odwracam kołowrót.
I w zórz wieczornych godziny przedłużę
myślę o szczęściu, co przyjść zapomniało
i marzę o tym, co się spełnić miało —
sen mój prześniony — już nie przyjdzie drugi...

Helena Podholicz-Melnykowa.

NIESTETY!

A. N. Naturalnie, że stanowisko moje względem Pana będzie, jak najbardziej przychylne i to właśnie dzięki wyłuszczonym mi przez Pana prawdom, dotyczącym Jego osoby. Lubię bardzo szczerość, a Pan ująłeś mnie swoją ogromnie.

Chcę się Panu odpłacić równie uczciwą monetą i dlatego wyznaję, że wierszyk Jego pt. „Październik“ jest niestety za słaby do druku. Ale nie radzę się Panu zniechęcać tą pierwszą niefortunną próbą, bo być może, że dalsze będą już szczęśliwsze.

Zasyłam Panu przyjazny uśmiech.

WRZOSY

Wrzosy... wrzosy... wrzosy...
Kędy nie spojrzysz, wszędzie one, —
Liljowe, smętkiem dziwnym oblecone,
Wsłuchane w ciche jesieni odgłosy.

Wrzosy... wrzosy... wrzosy...
Słońce posłało im jasne promienie,
By pięknej wiosny odczuły tchnienie
I wzniosły wzrok swój ku niebiosom.

Wrzosy... wrzosy... wrzosy...
Zaróżowione słońcem, dodają otuchy,
Wlewają nadzieję, koją ból głuchy
I osładzają ludzkie gorzkie losy.

„Wład“.

PISZ DALEJ!

„Uran“. Z pokaźnej liczby Twych wierszyków do druku wybrałem niżej wyliczone — reszta pójdzie do kosza.

Więc nadają się do ewentualnego zamieszczenia następujące wierszyki: „Życie, to walka“, „Piękny maju!“, „Raduj się serce!...“, „Noc“, „Kiedy się zbudzi“, „Z rannym marzeniem“ i „Cicho, och cicho!“.

Pisz dalej i przysyłaj mi wiersze do oceny. Zasyłam Ci uścisk dłoni!

ŻYCIE TO WALKA

Życie to walka, to burza bez końca,
To łódź, falami po morzu rzucana.
Jedna tęsknota do Boga do słońca,
Czas próby Bożej, zapasów i trwania.

„HAWAJSKIE WYSPY“

Osnute zwiewną, seledynową mgłą,
Hawajskie wyspy w blasku księżyca lśnią.
Wsłuchane w szepty pierzastych palm,
Wpatrzone w gwiazdy i morza dal —
Hawajskie wyspy w blasku księżyca lśnią.
Łagodnie wionie zefiru wiew,
Ktoś w dali na gitarze gra —
Wśród egzotycznych, kwitnących drzew
Niejedno serce szczęściem drga.

Hawajskie wyspy — to najpiękniejszy na (świecie kraj!
Hawajskie wyspy — gdzie dla kochanków (rwa więc nie maj!
Hawajskie wyspy — jak miło jest tu żyć
I o hawajskich tancerkach nocą śnić,
Lub z najpiękniejszą wić
Szczęścia złotą nić.
Tu nie dochodzi nigdy ze świata gwar —
Jedyne głosy, to ptaków chór,
Pieśń oceanu, gitary wtór,
Szum kaskad lśniących tęczową gamą barw.
Na każdym kroku wzrok nęci twój
Bananów słodkich złota jaśń...
Kolibrów stado, motyli rój.
O szczęściu kwiatom szepcą baśń —
Hawajskie wyspy.

Kazimierz Lubieniecki.

Uśmiech Boga stworzył Zaolzie

Wśród ludu śląskiego krąży wiele legend, ale jedną z najpiękniejszych jest ta, która głosi, że ziemia śląska z uśmiechu Boga stworzoną została. Kto zna dobrze Śląsk, jego piękny krajobraz, ludzi, zwyczaje, bogactwa naturalne, ten nie zaprzeczy, że jest to rzeczywiście kraina z uśmiechu Boga stworzona. A uśmiech ten musiał być bardzo serdeczny i dobrotliwy, bo głęboko zapadł w serce tamtejszych ludzi. Lud tu mieszka spokojny, tak spokojny jak krajobraz odwiecznej ziemicy Piastów. I na nic zdadzą się błędne twierdzenia naukowców niemieckich, którzy opierając się prawie wyłącznie na historykach rzymskich, chcą nam wmówić, że Śląsk w pierwszych czterech wiekach po Chrystusie zamieszkiwali germańscy Wandalowie i Silingowie, którzy przybyć mieli z duńskiej wyspy Zelandii. Jeżeli weźmiemy pod uwagę to, co piszą Tacyt i Ptolomeusz, obejmujący nazwą „Germania“ teren od Renu po Wisłę, to należy wyjaśnić, że nazwa ta jest u obu historyków pojęciem geograficznym, a nie etnograficznym. Nie będę tu przytaczał miarodajnej opinii polskich naukowców, zaliczających do dziedziny fantazji twierdzenia o Wandalach i Silingach na Śląsku. Pozytywnie stwierdza tego rodzaju autorytet archeologiczny jakim jest prof. dr. Kostrzewski, że na podstawie wykopalisk na terenie Śląska, stwierdzić można z całą stanowczością słowiańskość tej ziemi.

Pokojowe zwycięstwo odniesione przez nas na arenie międzynarodowej, jaskrawo stawiło nam przed oczy nieprzemijającą aktualność zagadnienia odzyskania Śląska Zaolzańskiego.

Z prasy codziennej biły nam codziennie w oczy tytuły zestawiane z liter, używanych w drukarniach tylko od święta. Nie będę tutaj zagłębiał się w szczegóły historyczne, uzasadniające nasze prawa do Śląska Zaolzańskiego, nie będę również przytaczał szczegółów odzyskania Zaolzia. Te sprawy załatwiła prasa codzienna, a opis pamiętnych tych chwil złotymi głoskami zapisał się w sercu każdego dobrego Polaka.

Ale istnieją sprawy wzruszające, które jak promyk słońca przez łzy, dochodzą do dusz naszych. To przeżycia tych, którzy nie mogąc znieść uderzeń twardego młota czechizacji, z narażeniem własnego i swych bliskich życia i mienia przekradali się do Ojczyzny.

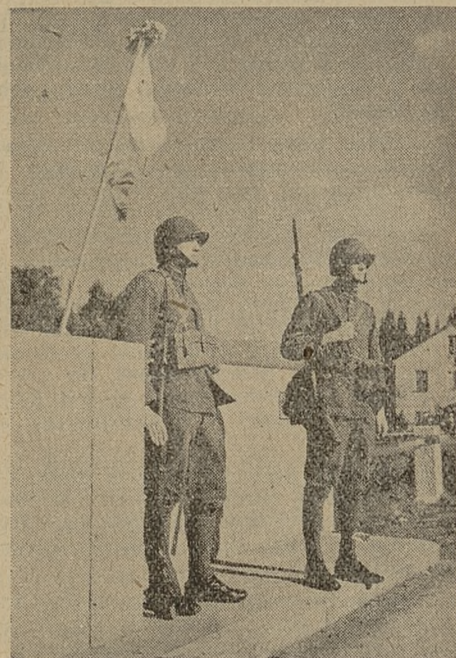
Czyż na przykład przeżycia księdza Karola Koltunia nie stanowią jednej z najpiękniejszych kart martyrologii Ślązaków za Olzą?

Księdzu Koltuniowi Czesi w pierwszym rzędzie utrudniali otrzymanie święceń kapłańskich. Mimo wszystko otrzymał je jednak w 22-gim roku życia. Stał się w ten sposób najmłodszym księdzem w dawnej Czechosłowacji. Cały swój młodzieńczy zapał poświęcił walce o polskość ziemi zaolzańskiej, choć Czesi nawet chcieli go przekupić, ofiarowując wielkie sumy pieniężne, byleby tylko wyrzekł się mowy polskiej.

Odmówił jednak i w wyniku tego zaczęły się szykany, rewizje, aresztowania. W lecie bieżącego roku, gdy organizował obozy harcerskie, napadli go Czesi dwukrotnie, strzelali doń, raniąc go w nos, bili kastetami i pokłuli nożami. W dniu 19 września ledwie zdołał ujść z rąk żandarmów, ostrzeżony przez ludność polską. Musiał kryć się w piwnicach i ogrodach, ażeby wreszcie przejść szczęśliwie granicę pod Pietrowicami i udać się do Katowic i Krakowa.

A ilu jest takich, których nazwiska pozostały w ukryciu, którzy w roboczych ubraniach, boso, uciekali przez granicę do Polski, by tutaj stanąć w szeregach Korpusu Zaolzańskiego i spieszyć ze zbrojną pomocą pozostałym za granicą czeską Polakom!

Wszystkie te wypadki, wskazujące na wysoki patriotyzm naszych braci zaolzańskich, a które znalazły pełny oddźwięk na łamach prasy codziennej, stanowią niezbity dowód, że Śląsk

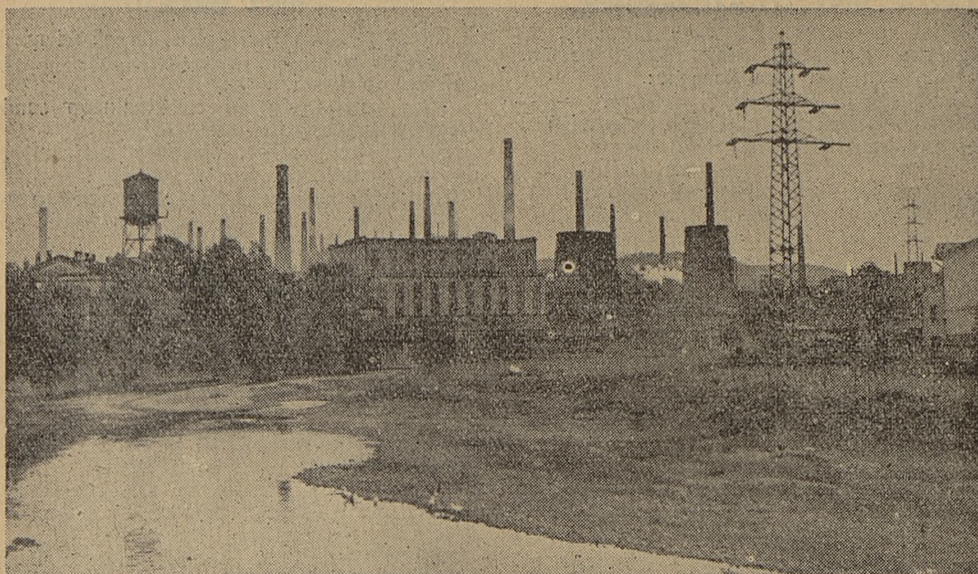


Na nowej granicy czuwa straż

za Olzą był zawsze polskim i takim pozostał do chwili swego wieczystego złączenia z Macierzą.

Nalot czeszczyzny został jednym odruchem, jak pył z ubrania strząśnięty. Czeski charakter Śląska za Olzą wyrażał się tylko w stosunkach ściśle urzędowych — lud polski pozostał polskim. Trwał wiernie i wytrwale w tradycjach przodków, cierpiał z myślą ciągłą i upartą, że zbliża się chwila powrotu na łono Macierzy.

Dążność do tego zespolenia się ma również piękną kartę w dziejach piśmiennictwa śląskie-



Imponujący widok hut w Trzyńcu

go, w jego twórczości literackiej i poetyckiej. Jeżeli chodzi o udowodnienie polskości kultury śląskiej, to programową pracą w tym kierunku jest publikacja Olgi Pręgorowiczowej, która na szeregu przykładach przedstawia całokształt kultury śląskiej z jej wybitnym piętnem polskości. Pisze ona między innymi:

„Zerwanie związku politycznego z Polską nie było równoznaczne z zerwaniem łączności duchowej i kulturalnej między Śląskiem a Macierzą. Związek ten istniał przez długie wieki, nie ustając faktycznie przez cały czas rozdziału, zmieniając tylko swe nasilenie, a nawet w pewnych okresach historycznych — np. w złotym wieku Polski Zygmuntowskiej — był bardzo żywy. Chociaż Śląsk państwowo już dawno do Polski nie należał, wybitni humaniści Śląscy: uczeni i poeci — utrzymywali intensywne stosunki kulturalne z Polską, a zwłaszcza z uniwersytetem krakowskim. Znane też były na Śląsku utwory najwybitniejszych pisarzy polskich wieku złotego: Reja, czy Kochanowskiego: „Kto się w opiekę" — stało się najpopularniejszą i najbardziej ulubioną pieśnią pobożną na Śląsku"...

„Nie tylko jedna Polska z czasów najświetniejszego swego rozwoju mocarstwowego, lecz i Polska późniejsza, zwłaszcza w chwilach swych walk wolnościowych wywierała magiczny wpływ na dusze ludu śląskiego i kształtowanie się jego rozwoju duchowego w zdecydowanie polskim kierunku. Na umysły śląskie oddziałał zwłaszcza bardzo żywo moment powstania Kościuszkowskiego. Odbiło się ono głośnym echem na Śląsku, stwarzając wśród ludu przekonanie, że Polska — w przeciwieństwie do rządów, pod którymi pozostawał Śląsk — jest krajem, dążącym do wolności i sprawiedliwości społecznej".

Zofia Kossak Szczucka otoczyła Śląsk Zaolzański szczególną pieczołowitością. Na dowód tego przytaczam urywek z jej świetnego reportażu p. tyt. „Czeskie słupy graniczne w żywym sercu Polski".

„Z przepołowionego jak pomarańcza Cieszyna, mrącego z tego podziału, z dworca kolejowego, upstrzonego licznymi napisami w języku urzędowym (napisy są wyłącznie w języku czeskim i niemieckim) wiodą drogi do Trzyńca i Jabłonkowa, do Karwiny i Ostrawy. Trzeba pójść tymi drogami i szukać... przede wszystkim szukać — Czechów.

Musi ich tu być większość niemała, skoro prawie w każdej wiosce czy osadzie pysznią się wspaniałe nowiutkie szkoły czeskie — szkoły-pałace i pstrokacizna gardłowych napisów.

Niby żywe zaprzeczenie tego mniemania, w wagonie III klasy, na dworcu, w kolejce elektrycznej w gospodzie, na rynku ruchliwej osady, wszędzie panuje niepodzielnie polska, piastowska, śląska mowa. Usunięta siłą z gmachów urzędowych i szyldów włada nadal wyłącznie krajem. Ucho z naprężoną ciekawością nasłuchuje, kiedy nareszcie usłyszy czeski język w rozmowie, wśród ludzi. Daremnie. Godzina jedna, druga, trzecia wędrówki skroś czeskiego zaboru.

Polskość jednolita, powszechna zaczyna się stawać obsesją, krzepiącą i bolesną zarazem. Prawda, że jesteśmy w Karwinie, uważanej za twierdzę polskości. Dziś jeszcze ta ogromna osada fabryczna, licząca 26.000 mieszkańców, rozsiadła na przestrzeni 20 km. kw. posiada znaczną większość uświadomionych narodowo Polaków, mimo pamiętnych rugów sprzed 10 laty, mimo rzeszy sprowadzanych z Czech robotników, rzemieślników, inżynierów i sztygarów.

Walnym wyrazem tej polskości były wybory na burmistrza, na przestrzeni 8 lat, dokonane trzy razy, trzy razy przez Czechów unieważniane, trzy razy przeprowadzające zwycięsko wybór Polaka (dr. Olszaka, prezesa Macierzy Szkolnej) wbrew czeskim groźbom i usiłowaniom.

Długim sierpem ciągną się szyby, po czesku „jamy" Gabryeli, Hohenegera, Henryka... Piękno podgórskiego krajobrazu przemienia zwykłą szpetotę fabrycznego zagłębia w fantastyczną panoramę, panoramę, niepozbawioną uroku. Na tle gór strzela smukła wież kominów. Wieże dźwigów wznoszą się w górę, niby romantyczne zamki, krużganki, strażnice. Dym stu kominów załamuje się pod wznoszącymi się nad nim szczytami.

Między szybami ogrody. Domki robotnicze, otoczone gęsto. Dąbrowa, Karwina, Łazy, Orłowa, cztery wielkie przemysłowe skupiska, stykają się omal bez przerwy. Olbrzymia koksownia w Łazach zatruwa powietrze wokoło. Za nią, za strojnymi w kwiaty domkami, niby przypomnienie szarej doli robotniczej, ciężkiej zawsze i wszędzie, wznoszą się wielkie, bure cielska hałd. Jak na Górnym Śląsku tworzą nowe przyszłe łańcuchy górskie, nieznane dawniej formacje.

Drobne dymki parują ze zboczy. To jadowity, zatruwający powietrze tlenek węgla. W nocy w miejsce obłoczków dymu po ścianach hałd pląsają błędne ogniki. Nie bacząc na trujące wyziewy, gromadki ludzi pną się po zboczach z workiem na plecach i młotkiem w ręku. To najbiedniejsi. Opukują większe bryły, poznając po odgłosie, czy to żużel, czy trafem zabłąkany, dobry jeszcze do użytku węgiel. Stąd zbierany w cuchnącym czadzie opał nazywa się „opuką".

Choć gminy Orłowa, Piewałd uchodzą za cokolwiek szczechizowane, język polski jest w dalszym ciągu jedynym, jaki się słyszy. Nic dziwnego. Tutejsi „Czesi" są to tak samo Ślązacy mówiący po polsku, nie znający innego języka, tyle, że orientacji czeskiej, posyłający dzieci do czeskiej szkoły. Czy straceni? Nie wiadomo. Dopóki istnieje język, dopóty istnieje narodowość.

Na razie rząd czeski ma z tymi neofitami przeróżne kłopoty: Rzekomi Czesi nie znają czeskiego. Czytają najchętniej „Przewodnik Katolicki" poznański. Czechofilskie pismo „Nasz Ślązak", organ dawnych „kożdonowców", musi wychodzić po polsku, by zapewnić sobie skąpy odbiór".

Jeżeli chodzi o pisarzy śląskich, którzy w pracach swych podkreślali bohaterskie zmagania się i wytrwałość ludu śląskiego, to wymienić trzeba działających przed wojną Stelmacha, ks. Świeżego, Michejdę, ks. Londzina. Zresztą problem śląski zajmuje poczesne miejsce w literaturze ogólnopolskiej.

Specjalnie zagadnieniem Śląska zajmuje się wymieniona wyżej Zofia Kossak Szczucka, ponadto Jan Nikodem Jaroń („Konrad Kędzierzawy", „Wojsko św. Jadwigi"), Gustaw Morcinek („Serce za tamą", „Wyrąbany chodnik"), Stanisław Ligoń („Wesele na Górnym Śląsku").

Mimo politycznego rozdarcia Śląska, mimo jego niekiedy różnicy w obyczajach, pisarze śląscy traktują na ogół Śląsk jako całość. Poetyckim wyrazem tego zapatrywania jest drukowany w roku 1937 w „Zaraniu Śląskim" (organ literacki twórczości śląskiej) wiersz nieznanego autora:

Znam tylko jeden Śląsk,
— dla mnie nie ma granicy!
Frydek, Trzyniec, Cieszyn, Opole,
Katowice...

— — — — — —

Znam tylko jeden Śląsk,
— dla mnie nie ma granicy!
Znam te usta zacięte i spłakane lica.

Obecnie wszyscy już pisarze mówić mogą, że znają tylko jeden Śląsk. Znikła sztuczna zapora, nie istniejąca zresztą w duszach Polaków śląskich, a tylko na politycznej mapie Europy.

Równolegle z odzyskanymi wartościami kulturalnymi, etnograficznymi idzie w parze odzyskanie wartości gospodarczych. Śląsk Zaolzański wnosi bogate wiano do skarbca Rzeczypospolitej.

W pierwszym rzędzie idzie Zagłębie Karwińskie ze swymi 15 kopalniami najwyższej jakości węgla. Ponad 10.000 górników polskich wydobyło z tych kopalń w roku ubiegłym 4 i pół miliona ton węgla, jakiego nie dostarcza — poza Karwiną — żadna kopalnia europejska. Daje on bowiem w koksowniach o 20 proc. więcej benzolu, krezolu, naftaliny itd., aniżeli węgiel z naszych kopalń górnośląskich i dąbrowieckich.

Trzy wielkie koksownie w Zagłębiu Karwińskim przetwarzają ten węgiel na koks i inne produkty pochodne.

Druga ważna gałąź przemysłowa Zaolzia — to hutnictwo. Jedna huta w Trzyńcu — największa, zatrudniająca 6.000 robotników, a produkująca rocznie 400.000 ton stali surowej, oraz po jednej w Boguminie i Frysztacie.

Przemysł górniczy i hutniczy koncentruje się głównie w północnym Zaolziu, gdyż poza powiatem frysztackim — do którego dotychczas Karwina należała — jeszcze tylko w Trzyńcu. Z tego względu Karwina jest największym miastem na Zaolziu. Liczy ponad 20.000 mieszkańców, w czym 15.000 Polaków. Cieszyn Zaolzański posiada natomiast niewiele ponad 10.000 mieszkańców i dopiero łącznie z większym Cieszynem tzw. polskim tworzy miasto 25-tys.

Środkowa i południowa część Śląska Zaolzańskiego to kraj wybitnie rolniczy. Rolnictwo to, jeżeli chodzi o kulturę ziemi, organizację spółdzielczą i uprzemysłowienie, zawdzięcza swój niebywały rozkwit doskonałemu wyrobieniu gospodarczemu.

Obecnie na Zaolziu człowiek powrócił do szarej pracy dnia codziennego.

Dymią wysokie piece hut trzynieckich, wre praca w kopalniach Karwiny, wieś pracuje na roli.

Piękna i zasobna jest ziemia zaolzańska, która wśród radości całego Narodu Polskiego wróciła do Macierzy, ale największym skarbem tej prastarej piastowskiej dzielnicy jest jej dzielny lud, wnoszący Rzeczypospolitej złoto swych serc i stal swej woli.

Henryk Lindemann.

w swej godności i miłości małżeńskiej arcyksiężna Stefania użala się przed cesarzem, plotki rzucają brzydki cień na rodzinę panującą, tajna policja Hofburgu wykryła udział Rudolfa w spisku zbuntowanej armii. Franciszek Józef nie zawaha się przed bezwzględnymi posunięciami! Żegnajcie piękne sny o miłości! Żegnaj ukochana Mario Vetsera! Trzeba się wznieść ponad siebie, trzeba, by miłość wywyższyła się ponad ludzką przeciętność. Syn cesarza musi cenić więcej swe uczucia niż życie w roli cesarza. Pozostaje tylko jedno wyjście dla spiskowców namiętności.

28 stycznia 1889 roku, w dziesięć lat po fatalnej decyzji wielkiego księcia Ludwika Napoleona, Rudolf postanawia spotkać się z Marią poza obrębem Wiednia. Wyjeżdżają więc oboje w smutny zimowy dzień do myśliwskiego pałacyku w Mayerling, gdzie oczekują ich polujący w tych stronach, książę Filip Koburg i hrabia Hoyos. Maria nie wahała się! Spaliła za sobą wszystkie mosty, zerwała ze swą rodziną, i w upojeniu myśli o chwili, która ją jeszcze ściślej połączy z ukochanym Rudolfem. Olbrzymie świerki osrebrzone śniegiem biegną wzdłuż alei parku. Lodowate okowy skuły powierzchnię stawów; przemarznięta straż leśna rozgrzewa skostniałe dłonie; spłoszone sarny giną w gęstwinie; o zmierzchu, tajemnicze odgłosy strzałów rozbrzmiewają po lesie, z oddali dochodzi cichy dźwięk klasztornego dzwonu, który przypomina o istnieniu świata, o Austrii, o Wiedniu, o Franciszku Józefie!

29 stycznia niezwykle pogodny nastrój panuje w czasie obiadu; doskonałe wina podniecają wesołość; rozbrzmiewa chóralny śpiew i stangret Bratfisch rozśmiesza Marię wygwizdywaniem wiedeńskich melodii. Zapadający zwolna mrok kładzie ponury cień na szyby okien, zahaftowane kwiatami mrozu. Z lasu dolatują ostatnie nawoływania ptaków; smutek i melancholia nadciąga ze schyłkiem dnia. Oczy Rudolfa szukają spojrzenia Marii. Ileż w nich beznadziejnej rozpaczy i tęsknoty miłosnej! Nalejcie jeszcze tego wyśmienitego wina, niech zapłonie ogniem we krwi, niech rozjaśni mroczny świat miłości.

Co przyniesie ciemna noc? Noc miłosna na granicy wieczności. Noc pieszczot tak upojnych, iż wiodą ku śmierci! Rudolf i Maria nie ujrzą już świtu dnia następnego.

Nazajutrz znaleziono ich oboje martwych. Następca tronu zaciska w zimnej dłoni rękojeść rewolweru, wąski strumyk krwi spływał jeszcze ze skroni Marii Vetsery. Żegnajcie sny o potędze, żegnaj cesarstwo, żegnaj dynastio Habsburgów. Wszystko to nie jest warte jednej pięknej nocy miłosnej!

Za oknami śnieg ściele biały całun. Hrabia Hoyos odjechał do Wiednia. Poinformowany przez niego hrabia de Bombelles nie ma odwagi powtórzyć cesarzowi strasznej wiadomości. Udaje się więc do apartamentów cesarzowej Elżbiety, która pogrążona w swych nostalgicznych marzeniach czesze przed lustrem swe piękne włosy. Co powie cesarz, gdy dowie się o tym straszliwym dramacie? Czas nagli, trzeba powziąć jakąś decyzję. Elżbieta również nie ma odwagi oznajmić Franciszkowi Józefowi o tragicznej śmierci syna. Nikt nie ośmiela się podjąć tego smutnego zadania. Co robić? Cesarz od czwartej rano podpisuje w swym gabinecie papiery państwowe, stając od czasu do czasu w oknie, by spojrzeć na zmianę warty na dziedzińcu Hofburgu. Ten, przed którym drży całe państwo rozmyśla o wielkości swej dynastii. Syn jego umarł, a nikt nie ma odwagi mu o tym powiedzieć. Dopiero po półgodzinnej rozterce cesarzowa Elżbieta i Katarzyna Schratt, kochanka cesarza, oznajmiają Franciszkowi Józefowi żałobną wieść. Ani jedno słowo nie wydobywa się z zaciśniętych ust cesarza.

Czarny gabinet funkcjonuje na nowo, podobnie jak w roku 1866. Zatajono samobójstwo Rudolfa sztucznymi pozorami, zabroniono wydać zwłoki Marii Vetsery rozpaczającej matce. Z barbarzyńskim okrucieństwem cesarz nakazuje pochować młodą baronównę w najgłębszej tajemnicy. W ciemnościach mroźnej nocy sklecono naprędce drewnianą trumnę w klasztorze Heiligen Kreuz. Poczem szef policji i jeden ze stryjów Marii Vetsery mają przewieźć zmarłą w otwartym powozie, by nie zwrócić niczyjej uwagi. Obaj mężczyźni siadają na tylnym siedzeniu, trzymając między sobą trupa nieszczęśliwej dziewczyny. Ciało zmarłej przegina się jednak gwałtownie do przodu i, by nikt przypadkiem nie dostrzegł iż to tylko bezwładny trup, jeden z ponurych osobników jest zmuszony wsunąć laskę między suknię a plecy Marii dla utrzymania zwłok w nieruchomej postawie. Żałobny pojazd rusza powoli w mroczną noc, konie co chwila ślizgają się na obmarzłym śniegu, wreszcie przy pierwszym brzasku smutnego poranka Maria Vetsera zostaje pochowana jak przestępca. Kilka stóp ziemi, wiązanka kwiatów — oto co pozostało kochance Rudolfa Habsburga!

Na dworze wiedeńskim cesarzowa Elżbieta łka nieprzytomnie, opłakując tragedię swego syna i czyniąc się odpowiedzialną za to samobójstwo. Wydaje się jej, iż krew Wittelbachów i Habsburgów, skażona pokrewnymi związkami małżeńskimi zbuntowała się w żyłach jej dziecka przeciw ciasnocie pojęć i niegodnym krętactwom. Wydaje się jej również, iż mogłaby nawiązać łączność ze swym synem w zaświatach, gdyby go odwiedziła w krypcie pod osłoną nocy. W kilka tygodni po tragedii w Meyerlingu, schodzi o północy do podziemi kościoła Kapucynów tajemnicza dama w czerni. Jest nią cesarzowa Elżbieta. Błądząc między sarkofagami, mija grobowiec księcia Reichstadtu, przechodzi pośród wszystkich zmarłych członków wielkiej dynastii i zatrzymuje się przed płytą z brązu, pod którą śpi snem wiecznym jej syn z przebitą skronią. Cesarzowa podnosi woal i błaga nieznane moce krainy cieniów, by powróciły jej na chwilę zmarłego syna. Odpowiada jej tylko ponure echo. Gdy cesarzowa powraca, koło grobowca Maksymiliana zimne dotknięcie marmurowego bloku wstrząsa nią jak wyrzut sumienia, nasuwa myśl o zemście i boskiej karze. Dwadzieścia trzy lata minęło już od upadku cesarstwa meksykańskiego. Dwadzieścia trzy lata nieszczęść i przekleństw losu! Franciszek Józef skazał na śmierć swego brata, a oto cień jego przesuwa się obok cesarzowej, niosąc jako zemstę niebios wyrok na Rudolfa. Maksymilian był opuszczony i samotny, jak samotną jest teraz cesarzowa, ginąca w mrokach nocy, prześladowana przez wspomnienie tej, która żyje z dala od wstrząsów świata.

XIX.

Syn cesarzowej Karoliny ma już czternaście lat. Wychowany i adoptowany przez rodzinę pewnego żandarma, nie wie jeszcze nic o swym królewskim pochodzeniu. Prawdopodobnie później dopiero dowie się o prawdziwej historii swego życia, dowie się o tym, że jest synem cesarza, że jest dziedzicem wielkiego, nieistniejącego już cesarstwa, że jednak ze względu na szczególne okoliczności, w których przyszedł na świat musi pozostać zawsze tylko synem żandarma.

Wykreślony przez swe urodzenie z wyższych warstw społeczeństwa, zdobędzie jednak należne mu miejsce przez swą pracę i wytrwałość, a niezwykła wola i siła ducha będzie kierowała wszystkimi jego czynami przez całe życie.

Wkrótce po wstąpieniu na tron rosyjski Aleksandra III, cesarzowa Elżbieta postanawia wyjechać na kurację do Francji. W tym celu poleciła wynająć w cichej wiosce normandzkiej wielki stary zamek, okolony gęstwiną rozległego parku, w którym będzie mogła uprawiać swą ulubioną jazdę konną.

Ciąg dalszy w nast. numerze.

LUCYNA ROKOMYSKA

2)

Biały Płomień

O, z jakąż radosną, a dziką satysfakcją tłukło się, kruszyło na polskich murach potworne, dwugłowe orły! — uświęcając po tym skalane miejsca przecudnym Białym Ptakiem z królewską koroną na głowie!

— — — — — — — — —

Basia i Pita przywędrowały w ten dzień z zawadiackimi minami ze szkoły i chciały koniecznie, ale to koniecznie rozpalić w ogrodzie ogień i spalić na nim niemieckie książki szkolne.

Jakoś im to Luta wyperswadowała.

A w wieczór, gdy przyszła pani Ciembronowiczowa, podniosły się ku jej, przejasnej dzisiaj twarzy — dwie rozradowane buzie bliźniąt i opowiadaniom, a pytaniom nie było końca.

— Wiesz mamuś, już nie będziemy nigdy, nigdy śpiewać w szkole: „Boże wspieraj" — chwali się Pita.

— Tylko: „Boże, coś Polskę!" — tłumaczy Basia.

Podchodzi Luta — już czternastoletnia wówczas — obejmuje matkę za szyję.

— A tatuś — mamo? Gdyby żył dzisiaj co by mówił?

Pani Ciembronowiczowa zatapia w błyszczące, jak gwiazdki, oczy córki przyćmione żalem spojrzenie:

— Radowałby się, Lutko... radował!

— — — — — — — — —

Powoli — powoli odsunęły się wstecz piękne dni. Zszarzały ludziom choć były tak jaśniejące, że zdawało się wtedy, iż nie przygasną nigdy w sercach tych, co je przeżyli...

Przygasły...

— — — — — — — — —

Poczęło się znów życie zwyczajne.

Mijały dni, miesiące, lata.

Bliźnięta pani Ciembronowiczowej przerosły starszą od nich Lutę. Poszły do szkół w Krakowie. — Spokojna, poważna Basia — do seminarium nauczycielskiego, — a Pita, sławna płaczka w dzieciństwie — do szkoły handlowej. Luta pozostała w domu; musiał się przecież ktoś nim zajmować. Zresztą — Luta była najwątlejsza z córek pani Ciembronowiczowej, więc może nie podołałaby trudom nauki.

Luta więc poza zajęciem w domu miała ogromnie dużo czasu. Obracała go na czytanie książek wszystkich, jakie jej w rękę wpadły i na... marzenia.

Była nieduża, szczupła. Ciemno blond włosy, wijące się lekko, okalały twarz, byłaby prawie nieładną, gdyby nie zdobiły jej przedziwnie piękne, ciemne oczy — pełne zawsze złotych iskierek, strojne w długie, bardzo gęste rzęsy i uśmiech uroczy — słoneczny.

— — — — — — — — —

Był wieczór.

Kulista ombra na jasno palącej się lampie okryła cieniem twarz pani Ciembronowiczowej, siedzącej przy stole z rękami złożonymi na dużej, rachunkowej księdze.

Wiatr delikatną dłonią pieścił białe muślinowe zasłonki w okularach. Za nimi pachniał sad... grały świerszcze... i stukały co jakiś czas jabłka lecące z jabłoni...

Luta oparła głowę na książce, którą czytała przed chwilą; oczy pobiegły na drugą stronę stołu — do rąk matki. Do twardych, spracowanych rąk — takich, dla niej, dla Luty — pełnych treści...

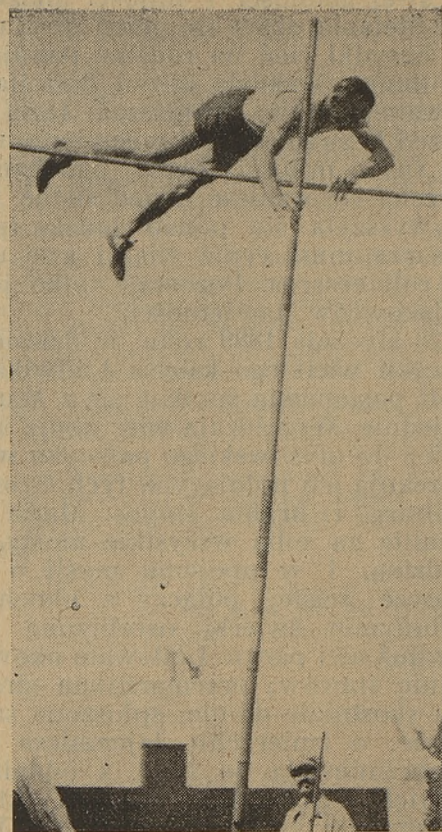
Ręce matczyne... Ręce najdroższe nawet wtedy, gdy tylko pieszczą... A te kochane ręce takie jasne teraz w świetle lampy — umiały nie tylko z pieszczotą kłaść się na głowach dzieci, ale i wykuwać w twardym znoju, bez odpoczynku, przez tyle lat — byt dla nich...

— Mamusiu — przerwały ciszę tkliwe słowa — tyle ci się należy od nas... Basia i Pita odwdzięczą ci się — będą mogły... Tylko ja, — nic! Najstarsza, a nic!... — głos Luty scichł żałośnie. W ciemnych oczach zaświeciły łzy...

— Dziecko — poczęła matka półgłosem w zamyśleniu — któż wie, co tobie Bóg przeznaczył?

ROZDZIAŁ VI.

Ziemia jeszcze dyszała żarem, choć już bliżej jej były do chłodnych, sperlonych rosą ramion wieczoru...



Efektowny skok o tyczce

Luta szła śliczną, wijącą się w serpentynę, drogą. Po lewej stronie w oddali pyszniła się góra Lanckorony porosła lasem, w fiolety już przez słońce przybrana i wiły się srebrne wstęgi szyn toru kolejowego. Na końcu drogi bieliły się potężne mury klasztoru Bernardynów. Nieco wyżej, jakby na czubach wyniosłych drzew, majaczył kościół Ukrzyżowania. — Luta szła wolno w górę. Potem machinalnie skręciła na lewo. Z jednej strony polnej dróżyny, na którą weszła — dzwoniły lekko uderzając wzajem o siebie — kłosy, już prawie dojrzałego, zboża. Z drugiej, szumiały poważnie świerki nad grobami przygodnego cmentarza pochowanych tu, w czasie ostatniej wojny, żołnierzy.

Luta szła, niby w śnie; ręce bezwolnie zwisały wzdłuż czerwonej, jak maki, sukienki. Głowę nisko opuściła na piersi... Wielkie, ciemne oczy pół przymknięte, zda się, nie widziały nic; patrzyły w głąb duszy... A w duszy musiało być tak słonecznie, jak na świecie dzisiaj, bo po ustach dziewczyny błądził uśmiech...

Skończyła się fala zboża i Luta weszła na niewielką leśną polankę.

Nagle — stanęła jak wryta.

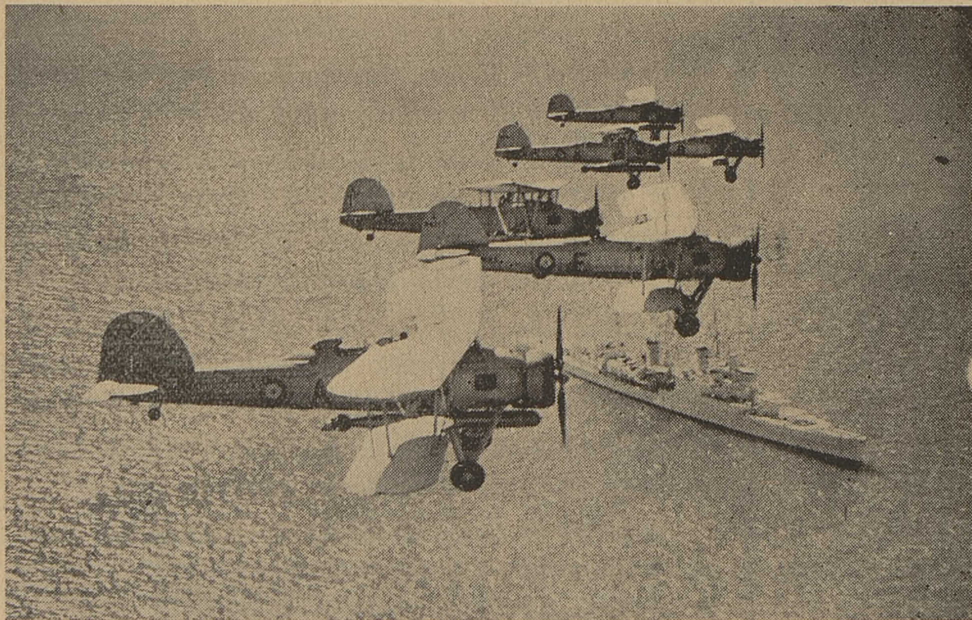
O dwa kroki przed sobą zobaczyła leżącego mężczyznę...

W pierwszej chwili chciała zawrócić, ale przykuła jej oczy dziwnie piękna, rasowa głowa nieznajomego. Wyniosłe czoło z odrzuconą w tył burzą czarnych, wijących się włosów — orli nos — broda pięknie zarysowana — i usta... dziwne usta... Kapryśnie wygięte o dziecinnym prawie wyrazie...

Luta nie odchodziła — patrzyła... Naraz w ciemnych oczach zabłysły figlarne ogniki.

U stóp śpiącego mężczyzny rozsiadł się wielki pniak świeżo ściętego drzewa.

Luta, lekko, na palcach, postąpiła jeszcze parę kroków i usiadła na pniu. Wstrzymując oddech, z twarzą całą w uśmiechach, patrzyła w leżącego mężczyznę.



Eskadra samolotów bombardujących w akcji. Widoczne są, przyczepione pod kadłubem samolotu, olbrzymie bomby

Czas płynął. — Świerki gaworzyły coś. Czasami ptak zakwilił układając się do snu, bo słońce schodziło coraz niżej i coraz dłuższe cienie poczęły rzucać drzewa na leśną polanę. — O, już dobiegły głowy śpiącego... skryły ją w cieniu... idą powoli dalej — dalej.

Figlarne ogniki w oczach Luty ustąpiły miejsca marzeniu.

— Śpiący królewicz — szepcą bezgłośnie usta.

Na twarz — do łuny słońca — przybywa druga: łuna szczęścia! Ta druga — w przedziwny wyraz słodyczy stroi oczy i usta dziewczyny.

Cienie dobiegły już nóg siedzącej. — Za chwilę popełzną po sukni czerwonej jak maki... zgaszą złote błyski, które raz wraz zapalają się na skrętach ciemno blond włosów.

Luta nie widzi nadchodzącego wieczoru, — czuje tylko, że jest jej bardzo dobrze tu na tym pniaku u nóg tego obcego mężczyzny...

Co byś też zrobił śpiący królewiczu — myśli — gdybym cichuteńko podeszła, uklękła koło tej orlej głowy i... położyła usta na tych kapryśnych wargach?

Usta dziewczyny rozchyla uśmiech.

W tej chwili — powieki nieznajomego uniosły się w górę — i usiadł prędko topiąc zdumiony wzrok w rozśmianych oczach Luty.

Chwilę tonęli oczami w oczach — i nagle... Lutka przysłoniła swoje powieki. On zaś wstał i kłaniając się, począł żartobliwie:

— Nie wiem, czyli to kwiat maku cudem zakwitł koło mnie podczas snu mojego? Czy też królową krasnoludków mam zaszczyt poznać?

— Niestety — ani jedno, ani drugie; choć królową krasnoludki mogłyby mnie zrobić ze względu na mój niewielki zwrost — podniosła ku niemu, pełne wesołych błysków, oczy.



W Pasadena w słonecznej Kalifornii odbywa się rokrocznie wielki pokaz wspaniałych róż.

Namiętnym, uporczywym spojrzeniem — wpiły się w oczy Luty stalowe, źrenice — i oczy ciemne jeszcze prędzej, niż za pierwszym razem, skryły się za powiekami.

I... czy to chłód bliskiego wieczoru — wstrząsnął wątłymi ramionami dziewczyny w sukni czerwonej jak maki? — Czy też w spojrzeniu mężczyzny było coś, co przejęło dreszczem jej ciało?...

Słońce zapadło za biały klasztor, nad grobami poczęły szumieć świerki swoje wieczorne modły...

ROZDZIAŁ VII.

Od tego dnia Luta chodziła z zorzą w twarzy. W sercu poczynał kiełkować kwiat strojny we wszystkie kolory tęczy i we wszystkie najupojniejsze wonie, ale mający właściwość przynosić sercu, w którym zakwitł, tyleż samo łez, co i radości...

Andreo Velli, młody cudzoziemski pianista i kompozytor — już od dwóch lat przebywał w Polsce. — Zachwycił go Kraków, który jest, jak cudna, kamienna pieśń — opowiadał Lucie. W nim też zamieszkał.

— — — — — — — —

Szli sadem w wrześniowy, cichy dzień, pod jabłoniami ciężkimi od owoców. Wokół głów snuły im się srebrne błyski „babiego lata" wraz z przedziwną wonią polskiej jesieni.

Luta, rozmarzone, szczęśliwe oczy co chwilę podnosiła w górę ku ustom kapryśnie wygiętym — ustom, o dziecinnym prawie wyrazie, idącego obok mężczyzny.

— Kraj obcy, ludzie obcy — mówił — ale kultura tak bliska i te pieśni, te dziwne pieśni ludowe. Chciałbym rytmikę i melodię każdej z nich wchłonąć w siebie... Pokochałem twoją piękną ojczyznę wcześniej, nim ciebie poznałem, a teraz będzie mi równie droga, jak własna.

Oczy ciemne wzniosły się w górę i dziękowały spojrzeniem, pełnym modlitewnego prawie zachwytu.

— I nie odjadę już teraz! Zostanę z tobą, śliczna, maleńka królowo krasnoludków.

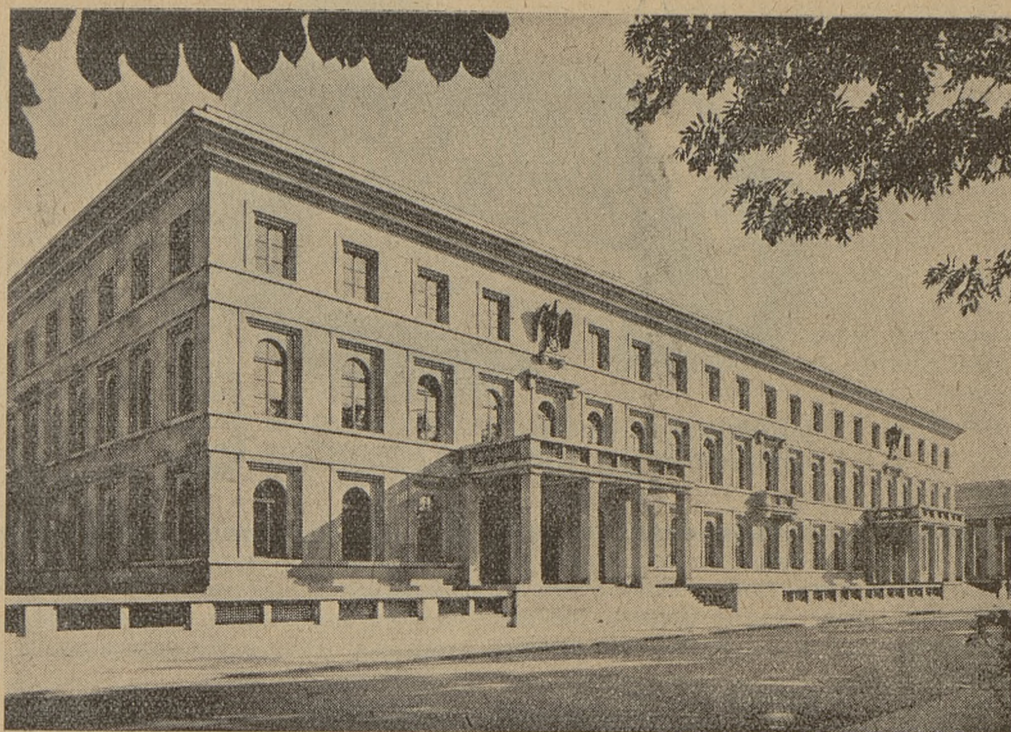
Wysoki mężczyzna pochylił się nagle ku małej, wątłej dziewczynie kładąc rozpaloną pieczęć kapryśnych warg na jej drżących ustach. Przytuliła się mocno, ufnie do piersi, w której słyszała serce bijące kochaniem dla niej.

— Kocham cię! — przypłynęło wszeptane w jej włosy słowo, niosące szczęście.

— Byłam niedawno — podniosła po chwili nieśmiało oczy — z Basią i znajomymi na górze zwanej „Zamczyskiem" od zbójeckiego zamku ongiś tam stojącego. — Noc była bezksiężycowa. Tu, z dołu — nie było widać ani jednej gwiazdy na niebie, ale gdy znaleźliśmy się na miejscu, w nagrodę za pełną trudów nocną wycieczkę, powitało nas niebo rojem migocących gwiazd. Ziemi nie było wcale; aż do naszych stóp zasłaniała ją gęsta mgła, poprzebijana tu i ówdzie światełkami błędnych ogników.

— O! „Niebo nad nami i niebo pod nami" — usłyszeliśmy drżący z wrażenia szept Basi. — Rzeczywiście wyglądało to tak, jakbyśmy byli w środku nieba! — teraz — kończyła — zarzucając mu ręce na szyję i patrząc radośnie w oczy — już nie muszę chodzić po stromych górach w nocy, aby się znaleźć w niebie!

Mężczyzna patrzył z zachwytem w rozkochane oczy dziewczyny... A po tym objął ją gorącym ramieniem i poszli dalej przez sad zamieniając co chwilę, kwietne miłością słowa...



Nowo wybudowany, wspaniały „Dom Führera“ w Monachium.

ROZDZIAŁ VIII.

I przeszło jeszcze wiele podobnych dni. Andrzej, jak go po polsku nazywała Lutka — przyjeżdżał czasem często — czasem po miesiącu niewidzenia i dłużej. Luta czekała spokojnie ,bo wiedziała, że wtedy, gdy nie był przy niej — miała go niepodzielnie dla siebie sztuka.

— O taką można panią nie wypada mi być zazdrosną, prawda drogi? — mówiła z poważną minką, przytulając pieszczotliwie twarz do jego ramienia, gdy opowiadał jej o swoich pracach i tłumaczył dlaczego nie był tak długo.

— Widzisz, Luteńko, — mówił — kocham cię... ale gdy zasiądę nad białą kartą aby przelać z siebie na nią to, co tam — pod czaszką kłębi się i gra... gra... coraz to coś nowego, — to wtedy zapominam o świecie całym... nawet o tobie...!

— — — — — — — —

Szła wiosna piękna, ale nie piękniejsza od innych. Dla Luty była jednak najpiękniejszą z wiosen! — Cieszył ją każdy kwiatek wychylający łepek ku słońcu z zimnej jeszcze ziemi, każdy ptaszęcy szczebiot! Dziś była szczęśliwsza, niż kiedykolwiek: Andrzej miał jutro przyjechać! A nie był już długo — bo aż... dwa tygodnie!

O! żeby tylko jutro było tak promiennie na ziemi, jak dzisiaj! Bo pójdą w umajone młodziutką zielenią pola witać wiosnę roześmianą kwiatami... Pierwszą wiosnę ich miłości!

— Jest mi tak, — szeptała do siebie Luta — że cały świat naraz chciałabym objąć w ramiona, a po tym wszystkich z osobna, każdą najmniejszą nawet muszkę upieścić i ucałować!

— — — — — — — —

Wstał cudny, promienny jak chciała wczoraj Luta — ranek. Do rannego pociągu przychodzącego z Krakowa biegnie Luta. — Spóźniła się jednak, bo oto drogą wysadzaną topolami, idzie już ku niej Andrzej.

O! Jak mu rozbłysły oczy, gdy ją zobaczył!

Luta obraca się szybko w koło na pięcie: nie ma żywej duszy nigdzie, więc wyciąga ramiona i za moment... nie czuje już ziemi pod nogami. Unoszą ją w górę kochane ręce. Wysoko... wysoko... tak, jak się to robi z maleńkim dzieckiem...

I Luta, jak dziecko wtapia dłonie w burzę czarnych, wijących się włosów, śmiejąc się głośno.

Po chwili Andrzej delikatnie ustawia ją na ziemi i idą prędko w stronę domu, bo Luta martwi się, że Andrzej głodny. — Bo mimo napomnień każdorazowych z jej strony, zawsze bez śniadania z Krakowa wyjeżdża.

— — — — — — — —

Była ubrana w jasno zieloną sukienkę, przepasaną w stanie czarną aksamitką i wyglądała, jak słońcem roześmiany ranek.

— Andrzeju, pójdziemy na tę samą leśną polanę, gdzie cię pierwszy raz ujrzałam — szczebiotała Luta, przytulając raz wraz twarz do ramienia ukochanego mężczyzny.

Szli drogą, na której końcu ukazał się biały klasztor. Po tym zboczyli w lewo.

— O! Słyszysz? Tak samo gaworzą świerki nad żołnierzykami, jak wtedy! Tylko z tej strony jest inaczej, bo wówczas złotą falą szumiało zboże — pamiętasz — śpiący królewiczu?

— Pamiętam, królowo krasnoludków!

Pochylił się ku niej zamykając śmiejące się usta swoimi... Wywinęła się z obejmującego ją ramienia i wznosząc ręce wysoko w górę jakby całemu światu chciała głosić swe szczęście — poczęła śpiewać:

„Choćby mi król rzekł sam:
Królestwo ci swoje dam!
Ja bym jeno się roześmiała
wszystkim świętym dziękowała,
że se grajka mam!!!
że se grajka mam!!!“

Głos był radosny, słoneczny! Przepyszne, ciemne oczy rzucały złote iskry...

Na leśnej polance było pełno słońca. Złota promienna kula, dobiegłszy południa, trzymała na wodzy cienie. Wysoki mężczyzna usiadł u nóg małej dziewczyny, siedzącej na pniaku. — Stalowe źrenice zawisły na ustach, które mówiły:

— Wiesz, drogi — czasem mi się zdaje, że nie żyłam dotychczas, spałam, jak królewna z bajki, aż przyszedł królewicz i teraz żyję! Żyję! Żyję!!

Przez jakiś czas na leśnej polanie mówiły tylko świerki z sobą. — A po tym dziewczyna podniosła znów ręce wysoko wołając z bezmiarem szczęścia w oczach:

— Kocham cię słońce! — Kocham cię życie! — Kocham cię świecie cały!

Dłonie mężczyzny zaplotły się na stopach dziewczyny, a orla głowa przypadła nagle do kolan...

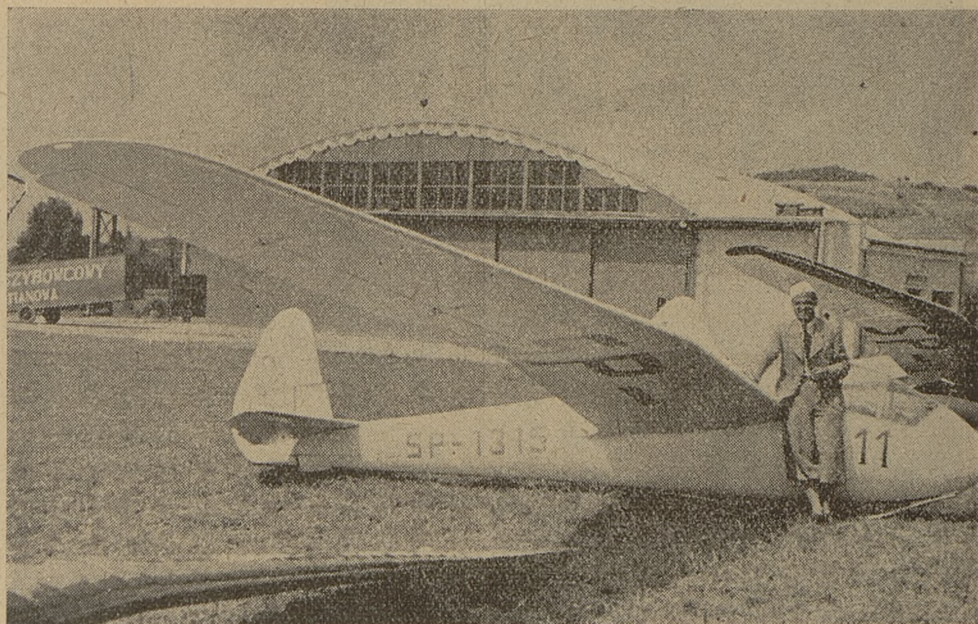
— Luto moja... Luto moja...

— Andrzeju...

Ręce Luty zanurzyły się pieszczotliwie w czarnych włosach... Nagle — uczuła żar ust na swoich kolanach i zaraz porwały ją gwałtowne ręce kładąc na leśnej trawie i mchach.

— Moja? Moja?... — pytał głos dyszący, namiętny. Orla twarz stała się drapieżna... władcza...

(Ciąg dalszy w następnym numerze)



Wobec nastania chłodnej i wietrznej jesieni, ze sportu szybowcowego pozostało jedynie wspomnienie

RAJ KOBIET

Skrzydełka motyli jako ozdoba damskich pantofelków

Tysiące samochodów pędzi codziennie w kierunku małego domku, położonego na drodze do kąpielisk nadmorskich w New Jersey. Domek ten jest siedzibą najdziwniejszej na świecie pracowni: wytwarzania ozdób do damskich pantofelków ze skrzydeł najpiękniejszych motyli.

Wytwórnią tą kieruje były kurator sławnego w swoim czasie muzeum motyli w Dreźnie — niejaki Karol Deubel, który całą swoją wiedzę z zakresu owadoznawstwa, a w szczególności motyloznawstwa zużytkował do nowego przemysłu ozdabiania damskich bucików skrzydłami najrzadszych motyli.

Jest to niesłychanie trudna i skomplikowana praca. Deubel sprowadza zewsząd najoryginalniejsze okazy motyli osiada swoich „korespondentów" — poławiaczy motyli we wszystkich częściach świata, głównie w okolicach podzwrotnikowych, w Brazylii, nad Amazonką i t. p.

Skrzydła motyle są jak wiadomo niezmiernie kruche, łamliwe — wymagają bardzo delikatnych i skomplikowanych zabiegów chemicznych dla utrzymania ich w całości, nadania im trwałości, mocy. Często ozdobienie jednego damskiego obcasa wymaga setki skrzydeł o najoryginalniejszych barwach.

W wytwórni Deubela znajduje się podobno 50.000 najrozmaitszych gatunków motyli o niesłychanym bogactwie barw i deseni.

Jak widać, pomysłowość ludzka, o ile chodzi o ozdabianie piękniejszej połowy rodzaju ludzkiego jest nieograniczona.

Paryż i Warszawa mają więcej kobiet niż mężczyzn

Prefektura departamentu nadsekwańskiego w Paryżu opublikowała dane statystyczne, z których wynika, że stolica Francji ma więcej o 288.141 kobiet niż mężczyzn. Na 1.270.781 mężczyzn zamieszkałych w Paryżu przypada kobiet 1.558.965. Na stu za tym paryżan wypada około 120 paryżanek.

W Warszawie stosunek ten jest bardzo podobny. Na stu bowiem mężczyzn w stolicy Polski przypada około 119 kobiet.

Proces 500000 Angielek

Pół miliona starszych, niezamężnych Angielek stworzyło silną organizację. Wszystkie te samotne kobiety żądają kategorycznie, aby rząd angielski uważał je za „ofiary wojny" i aby im przyznał rentę.

Stare panny opierają swe wywody na fakcie, że w wielkiej wojnie padło z górą milion Anglików, którzy gdyby nie legli na polu walki zostaliby z całą pewnością mężami i ojcami. Na skutek przedwczesnej śmierci tych obywateli Wielkiej Brytanii wiele kobiet utraciło możność pełnienia swego „zawodu" w charakterze żon i matek, nikt też nie zabezpieczył ich starości.

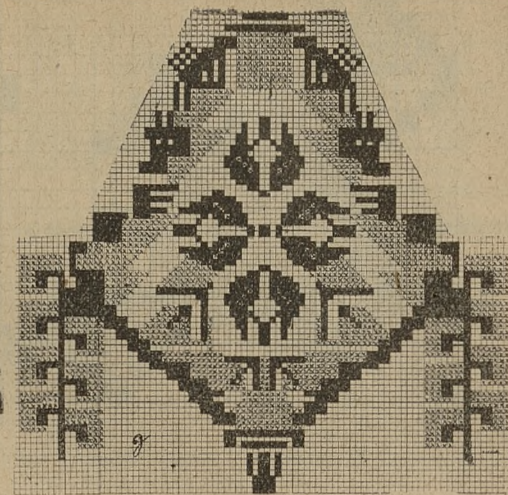
Za te „utracone zyski" żądają obecnie odszkodowania od rządu opierając się na stwierdzeniu faktu, że wielka wojna jest powodem nadmiaru kobiet — czy też braku mężczyzn w ich pokoleniu, wobec tego mają prawo uważać się za „ofiary wojny".

Poszukiwana kobieta-detektyw

Dyrekcja policji w Nowym Jorku poszukuje kandydatek dla obsadzenia nowych stanowisk kobiecych detektywów, wątpliwe jest jednak, czy znajdzie takie, które by odpowiadały w pełni postawionym wymaganiom. Żąda się bowiem od nich, aby liczyły nie mniej niż 21 i nie więcej niż 29 lat, ważyły co najmniej 50 kilogramów, miały dobre oczy i sprężyste nogi, nie nosiły okularów i umiały wykonywać skoki do wysokości 1,50 m, dorównywały urodą gwiazdom filmowym, a sprytem detektywom męskim, mówiły różnymi językami i posiadały zimną krew. Kandydatki zgłaszają się licznie, ale chyba nie wiele będzie wśród nich takich ideałów kobiecych.

Piękny dar Polski

W 1922 roku właściciel dóbr żemosławskich na Wileńszczyźnie powołał do życia Fundację Naukową przy uniwersytecie w Wilnie dla pogłębienia wiedzy agrarnej na terenie ziem wschodnich, ofiarując na ten cel ze swego klucza majątki Żemłosław, Hutę i Zalesie razem około 2200 ha. Ostatnio p. Umiastowiska uzupełnia swe dzieło, stwarzając dom wypoczynkowy dla naukowców, artystów i literatów. — Dom ten powstał obok zamku żemłosławskiego. W lipcu został ostatecznie wykończony, a w sierpniu nastąpiło jego otwarcie.



Kawałek szlaczka naturalnej wielkości, wykonanego ściegiem krzyżykowym. — Kolory należy dobrać w zależności od tła.

Sukces pisarki pomorskiej

P. Halina Borowikowa z Gdyni, pisząca pod pseudonimem Jerzy Marlicz, zdobyła wielki sukces, wydając książkę „Bezdroża" i wybijając się przez nią na pierwsze miejsce wśród pisarzy Pomorza.

Amerykańska brawura

Jedna z girlsów amerykańskich, nie mogąc doczekać się rozgłosu z tytułu swych występów scenicznych, postanowiła zdobyć go w inny sposób. ewnego dnia, zaprosiwszy grono dziennikarzy żądnych sensacji oświadczyła, że wejdzie do basenu z rekinem. Stanął zakład o kilka tysięcy dolarów i w oznaczonym dniu zaproszeni dziennikarze i dyrektorzy kilku teatrzyków rewiowych mogli oglądać odważną girlsę, pływającą w basenie, w którym znajdował się rekin. Dodajmy, że był to młody okaz żarłocznego potwora i tej okoliczności zapewne przedsiębiorcza girls zawdzięcza, że z kąpieli tej wyjść mogła cało.

Gdy ją zapytano o wrażenia — odparła: wszystko byłoby dobrze, gdyby nie ta zimna woda. Oczywiście kąpiel girlsy trwała w myśl umowy 5 minut. W tym czasie niedoświadczony rekin, którego dyrekcja ogrodu zoologicznego przedtem dobrze nakarmiła nie zdążył zapewne nawet zauważyć smacznego kąska, pływającego obok.

Z pralni na ekran

Jedno z pism angielskich rozpisało ankietę na temat, jakie trzy osobistości mogłyby na świecie najtrafniej reprezentować Anglię. W odpowiedzi najwięcej głosów otrzymali: Szekspir, admirał Nelson i Gracie Fields. Któż to jest Gracie Fields, która znalazła się w tak znakomitym towarzystwie? Jest to artystka nieładna i już niemłoda, mająca największe zarobki spośród artystów Wielkiej Brytanii. Ulubienica dworu królewskiego, obsypywana zaszczytami. Gracie Fields weszła po raz pierwszy w swym życiu za kulisy teatralne... z pakietem bielizny z pralni. Matka jej miała pralnię i Gracie roznosiła bieliznę klientom. Skorzystała więc z faktu, że odnosi bieliznę reżyserowi teatralnemu i poprosiła go, by jej ułatwił wstąpienie na scenę.

— Moje dziecko — powiedział reżyser — nie masz żadnych szans, jesteś za brzydka...

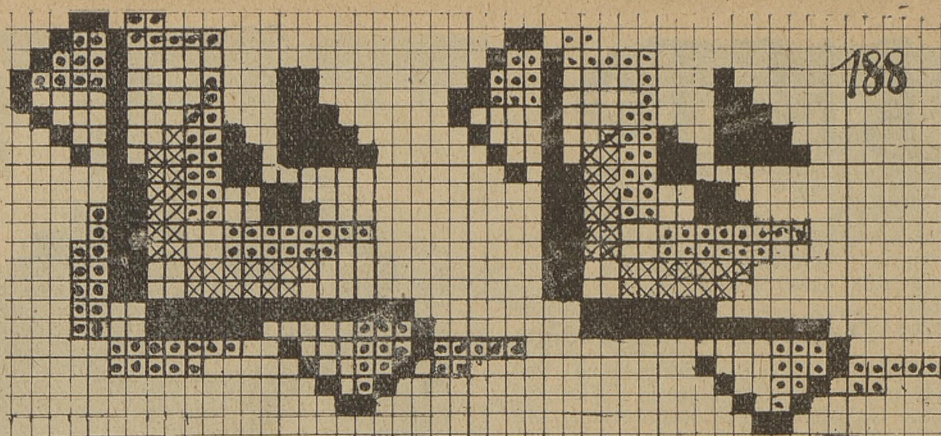
Ale Gracie Fields nie dała za wygraną i przebojem poszła na scenę. Teraz zarabia rocznie około 4 miliony złotych. Za jeden film który z nią nakręcają, otrzymuje około miliona złotych, za występ w radio każe sobie płacić po 20 tysięcy zł.

— Gdzie tkwi tajemnica pani powodzenia? — pytają ją często dziennikarze.

— Nie wiem — odpowiada szczerze — jestem brzydka, mam 40 lat. A jednak jestem



Piękna kapa filet na łóżko. Wzór można nabyć w naszej administracji w cenie 2,— zł.



Fragment efektownej koronki, wykonanej na siatce lub szydełkiem.

zawsze ta sama „stara poczciwa Gracie....? może dlatego.

Kariera Gracie Fields zaczęła się jeszcze wspanialej rozwijać, kiedy obecny król Jerzy VI. wówczas jeszcze książę Yorku, ujrzawszy ją w filmie komicznym pt. „Wieża Londyńska", zaśmiał się do łez i powtarzał:

— To chyba najkomiczniejsza aktorka świata.

Film był na afiszu różnych kin londyńskich przez... siedem lat. Dwór królewski lubi Gracie Fields ogromnie. Zarówno król, jak małe księżniczki przy każdej okazji zaśmiewają się z jej komicznej gry. Jest też ona jedyną aktorką angielską, która dostąpiła zaszczytu, iż jest oficerem zakonu św. Jana Jerozolimskiego i jedyną śpiewaczką music-hallową, którą przyjmują na dworze królewskim. Gracie Fields wyszła za mąż i nazywa się pani Gelinger. Mieszka w wspaniałym pałacyku, a jej zbytkowny tryb życia jest powszechnie w Londynie znany. Ale mimo to, nie zapomina nigdy o środowisku, z którego wyszło, nędzy londyńskiej. Nie tylko obsypuje londyńskich „cockneyów" darami, ale na każdym kroku zaznacza swe niskie pochodzenie.

HIGIENA i zdrowie

Czy wskazane są drzemki popołudniowe?

Na to, czy drzemki popołudniowe są wskazane, mamy podzielone zdania. Są ludzie, którzy z gruntu nieprzychylnie odnoszą się do tej, podług nich, niepotrzebnej straty czasu, na którą mogą sobie pozwolić jedynie dzieci i starcy, inni dowodzą, że po drzemce człowiek budzi się jeszcze bardziej zmęczony, a tylko nie wielu uznaje dobroczynne jej działanie na przemęczony organizm ludzki.

Moja rada idzie po linii korzystania z drzemki, ale tylko w wypadku, gdy ona jest potrzebna, a nie po to, aby zabić jakoś nadmiar wolnego czasu.

Drzemka naprawdę wskazana jest wówczas, gdy człowiek jest zmęczony po podróży, gdy w nocy długo leżał, nie mogąc zasnąć, lub gdy późno w nocy położył się do snu z tych, czy innych przyczyn. Sen poobiedni jest też wskazany wówczas, gdy człowiek poczuje jakiś niczym bliżej nieumotywowany niepokój, smutek, a także ból głowy.

Godzinka, dwie snu, koniecznie w dobrze przewietrzonym pokoju, znakomicie poprawi mu samopoczucie — zniknie niepokój i przestanie boleć głowa, a członki nabiorą lekkości i sprężystości.

Podobno Napoleon, który w ogóle sypiał mało, przy większym zmęczeniu urządzał choć kilkunastu minutowe drzemki. I robiły mu one doskonale. Rzecz inna, że umiał on zasnąć natychmiast, bez względu na to, czy był w danej chwili w domu, w gabinecie służbowym, czy wreszcie na wolnym powietrzu w czasie marszów i operacyj wojskowych. Miejsce i pozycja nie grały tu roli, równie dobrze potrafił drzemać na łóżku polowym, jak na kulbace. Ale trzeba tu wziąć pod uwagę nieludzkie często zmęczenie, do którego się doprowadzał przez swoją gwałtowną i bezustanną, na miarę tytanów zakrojoną pracę.

Jeżeli chodzi o nas, to dobry ten zwyczaj natychmiastowego zasypiania, popartego silną wolą w tym kierunku, dość łatwo możemy przejąć. 95 na sto uda nam się zasnąć szybko — a pozostałe wypadki możemy złożyć na karb nieprzemęczenia. Boć pamiętamy, że zasadniczym warunkiem naszej drzemki było zmęczenie. Gdy to weźmiemy za warunek sine qua non, nie będziemy potrzebowali się obawiać przyzwyczajenia, nie będziemy niewolnikami nadmiernego snu i niepotrzebnych drzemek, powodujących próżną i nieproduktywną stratę czasu.

Inaczej przedstawia się sprawa snu dzieci. Dzieci przed wiekiem szkolnym z całą pieczołowitością winny matki kłaść codziennie po południu do łóżeczek, przestrzegając ponadto higieny miejsca ich poobiedniego spoczynku.

Dzieci w wieku szkolnym też należało by naklaniać do króciuteńkiej drzemki, o ile naturalnie nie wolą tego czasu zużyć na przedłużony o tyle spacer lub zabawę na wolnym powietrzu.

Sen popołudniowy u dzieci jest dostatecznym środkiem, by dzieci nerwowo się uspokoiły, szczupłe — utyły, a wszystkie w ogóle — dobrze znosiły klimat, w jakim się znajdują.

Ponadto drzemka jest doskonała dla zbyt szczupłych osób, które mimo wszelkich zabiegów, czynionych w kierunku zwiększenia naturalnej wagi, nie mogą jakoś utyć.

Kto wie, może przyczyna chudości leży w jakimś defekcie organów wewnętrznych, może nastąpiło obsunięcie żołądka? Należy to koniecznie stwierdzić u lekarza i dowiedzieć się, czy nie zaordynuje on noszenie pasa podbrzusznego i nie nakaże snu poobiedniego. Jest wszak wiadome ogólnie, że w pozycji leżącej obsunięty żołądek przyjmuje swoje normalne położenie i tym samym lepiej wypełnia funkcje, związane z trawieniem.

Zjawiskiem nagminnym, usankcjonowanym konieczności, są popołudniowe drzemki w krajach tropikalnych, w których zresztą życie ruchliwe jest w ogóle utrudnione z powodu obezwładniających upałów, a w południe już wręcz niewykonalne są wszelkie czynności, wymagające fizycznego wysiłku i tempa. Tam Europejczyk żyje i pracuje rano, śpi i oddaje się bezczynności przez długie godziny pełnego dnia, a odżywa na nowo wieczorem. Ale to już nas bezpośrednio nie tyczy, gdyż w naszym kraju rzadko zdarzają się upały o sile choć przybliżonej do tropikalnych, a krótkie są w ogóle okresy gorąca.

W każdym razie w upalne dni naszego lata też należało by wprowadzić drzemkę poobiednią na rzecz wcześniejszego wstawania rano. Nasza praca ogromnie zyskałaby na wydajności, bo rano człowiek zawsze pracuje sprawniej, podczas gdy w południe ulega pewnemu rozleniwieniu i zmęczeniu, które jest niczym innym, jak zwykłym następstwem podniesionej temperatury wokoło nas, silnie nagrzanej ziemi, i uciszenia nieraz nawet najlżejszych podmuchów wiatru — słowem, skwaru!

A czy drzemki poobiednie nie tracą na racjonalności w zimie? Moim zdaniem nie, bo jedno, że większość ludzi chętnie faworyzuje t. zw. „długie wieczory", które przeciągają się długo w noc i przez to są rzeczywiście dłuższe, niż wieczory letnie, a co za tym idzie, powodują większe zużycie sił, które winno się wzmocnić małą drzemką poobiednią. Ponadto w zimie człowiek więcej zużytkowuje kaloryj ciepła, które tak znakomicie, że tak powiem, naładowuje, wytwarza sen.

Mirania Galińska.

Apteczka domowa

Apteczka domowa jest niezbędna, a urządzenie jej może być bardziej lub mniej bogate, zależnie od zamożności, miejsca zamieszkania i... potrzeb jej właściciela. Inaczej wyglądać powinna oczywiście apteczka domowa młodego i zdrowego człowieka, który mieszka w dużym mieście, gdzie w każdej chwili można kupić potrzebne lekarstwa w najbliższej aptece, inaczej zaś wówczas, gdy apteczka domowa należy do osoby starszej, schorowanej i mieszkającej np. na głuchej wsi, z dala od lekarza i aptek.

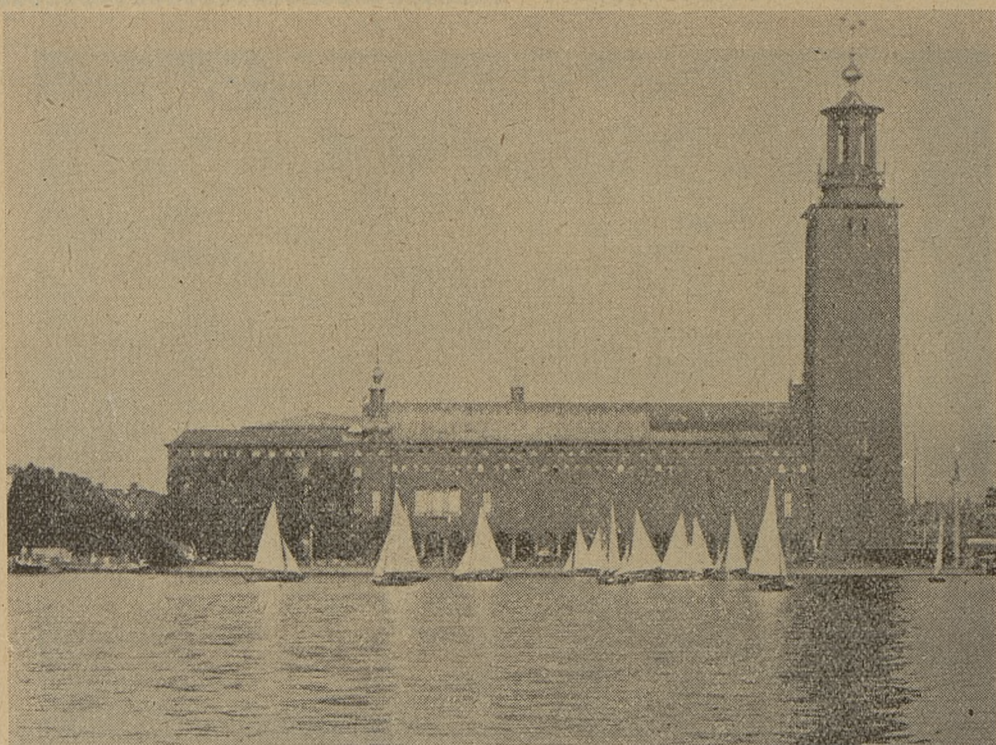
Ograniczymy się jednak do wyliczenia kilku najważniejszych lekarstw, które zawierać powinna zwyczajna apteczka domowa, przeznaczona dla ludzi na ogół zdrowych, pragnących mieć jednak najpotrzebniejsze leki pod ręką.

Otóż potrzebną jest przede wszystkim dwuprocentowa jodyna, czysta sterylizowana wata, opaska opatrunkowa, leukoplast — to wszystko do pierwszego zaopatrzenia drobnych zranień.

Na wypadek poparzenia trzeba mieć gotową mieszaninę równych ilości oleju lnianego z wodą wapienną (Oleum lini Aquae Calcis ana 50 gr.). Przeciwko ukąszeniom komarów, much lub na skutek zakażenia, octan glinkowy do okładów. Zasypka higieniczna (taka, jakiej używamy dla niemowląt) przyda się zwłaszcza w lecie, do zasypywania delikatnej i pocącej się skóry między palcami stóp, na piersiach, pod pachami, na plecach. Przeciw bólom głowy należy mieć w pogotowiu kilka proszków piramidonu lub aspiryny. Warto mieć również w apteczce kilka pigułek, zawierających każda po pięć setnych grama siarczanu chininy, które zażywa się na wypadek dreszczy, kataru lub grypy natychmiast po zauważeniu pierwszych objawów choroby.

Flaszeczka z olejem rycynowym powinna również znajdować się w aptece. Dobrym, choć mniej energicznie działającym środkiem pobudzającym trawienie jest czysta parafina (Oleum parafini purissimum), którą zażywa się w razie potrzeby w ilości jednej lub dwóch łyżek stołowych, to znaczy w takich samych dawkach, jak olej rycynowy.

Radzimy również kupić małą flaszeczkę spirytusu kamforowego do wcierania. Dobrze jest poprosić aptekarza, aby do tego spirytusu kamforowego dodał ponadto odrobinę kamfory (pół procent).



Prawdziwym rajem dla sportów wodnych jest leżące w samym środku Sztokholmu jezioro Mälar. W głębi widoczny ratusz sztokholmski

MGR. WANDA KIERZKOWSKA.

Wielka przygoda panny Malinowskiej

(NOWELA)

Nazywała się Maria Malinowska... nie gorzej i nie lepiej od wielu innych...

Zawód, — urzędniczka...

Wiek, — nieokreślony...

Patrząc na nią nikt nie myślał o jej wieku, ani o przynależności do jakiegoś zdecydowanego rodzaju ludzkiego.

Wszystko w niej było zaciszone, zatarte, niewyraźne...

Postać miała szczupłą, drobną twarz bezbarwną i pozbawioną wyrazu...

Należała do tych osób, które się mija w tłumie, nie dostrzegając ich wcale, do osób, które się uważa przy pracy za rodzaj niezbędnego sprzętu, inwentarza biurowego, z którymi rozmawia się dzień po dniu, wydaje rozkazy, załatwia sprawy, nie patrząc na nich wcale, nie wiedząc nic o ich życiu osobistym, nie znając prawie ich rysów, ani wyrazu twarzy, choćby się lata całe pracowało razem.

Obok pracy maszynistki miała panna Malinowska jeszcze dwie dodatkowe, nieoficjalne zresztą funkcje w biurze: była odbiornikiem przejmującym wszystkie zwierzenia, skargi, żale i narzekania, oraz ofiarą znajdującą się zawsze pod ręką, na którą można było spędzić winę, wylać całą złość i gniew. Jedną i drugą funkcję spełniała w milczącym poddaniu, bez słowa protestu, czy zewnętrznych oznak niezadowolenia. Nie było wypadku, by kogoś wydała, lub próbowała się obronić sama. Taką już była... i wiedząc o tym wykorzystywali to wszyscy, nie czując do niej nawet wdzięczności za to.

Życie panny Malinowskiej było równie szare, jak i ona sama.

Była samotna, nie miała rodziny... Na życiu jej nie zaważył żaden mężczyzna, nie rozjaśniła go żadna serdeczniejsza przyjaźń, żadne ludzkie przywiązanie. W dzieciństwie szkoła, teraz biuro musiało zapełnić jej całe życie... więc była w nim pustka niezastąpiona. Wzorowa uczennica w szkole, punktualna jak zegarek, niezawodna urzędniczka w biurze, nie miała przy sobie nigdy nikogo bliskiego, drogiego i oddanego...

Panna Malinowska rozmyślała nieraz o swym losie... Myślała z pewnym żalem, czemu to właśnie ją skazał los na tak okrutną samotność i pustkę w życiu, kiedy tyle kobiet, niewiele od niej ładniejszych, na pewno nie lepszych i nie mądrzejszych tak wygodnie umiało się urządzić w życiu.

Bo przecie i ona chciała coś mieć z życia... miała dość pustki całego dzieciństwa, zimnego pokoju, w którym nikt nie czeka, nieogrzanego łóżka i cichych, samotnych nocy. Podczas najbardziej wyczerpującej, nużącej pracy, nie przestawała panna Malinowska tęsknić do własnego, choćby najmniejszego domu, do mocnego, opiekuńczego ramienia i drobnych rączek dziecięcych, opłatających jej szyję... I przez długie bardzo długie lata marzyła o swej wielkiej przygodzie, która by ją, kopciuszka i popychadło biurkowe, przemieniła, niby królewnę z bajki, w najszczęśliwszą kobietę pod słońcem. A choć z biegiem lat skronie jej przyprószyły się siwizną, a koło ust poczęły pokazywać się zdradzieckie zmarszczki, panna Malinowska w najskrytszym zakątku serca nie wyrzekła się swych marzeń i wciąż jeszcze nie przestała oczekiwać...

Bo choć bardzo szare, pozbawione zewnętrznej treści i ubogie w wydarzenia było życie p. Malinowskiej, zahukanej, źle płatnej, przez wszystkich wyzyskiwanej i popychanej maszynistki biurowej, to przecie i ona miała w nim swoją chwilę szczęścia... niedużo... jeden, niezapomniany wieczór, podczas którego czuła się właśnie jak kopciuszek z bajki, różdżką czarodziejską w królewnę przemieniony...

Było to... dawno już... kilkanaście lat minęło od tego czasu, a mimo to każda chwila, każdy szczegół tego czarodziejskiego wieczoru został w pamięci jej wyryty na zawsze...

—o—

Szara panienka, jak szarą była dziś maszynistka postarzała przy pracy w biurze, przyszła pewnego razu odwiedzić swą koleżankę świeżo po maturze. Przyszła w berecie, z włosami gładko zaczesanymi za uszy, w grubym swetrze, długiej fałdowatej spódnicy i ciężkich, sportowych półbutach, bo tak ubierała się zawsze, twierdząc, że jej z tym było najwygodniej. I trafiła właśnie na tańcujący wieczorek... A był to taki dziwny wieczorek, że nie panów brakowało do tańca, jak to zazwyczaj bywa, panienki pozawodziły w ostatniej chwili. Tej to właśnie okoliczności zawdzięczać należy, że powitano szarą panienkę bez skrzywienia, a nawet postanowiono ją zatrzymać na zabawie. Zawsze, jakby tam nie było, a jedna „dama" więcej do tańca. Szara panienka wpadła jak ptaszek w pułapkę. Chciała się cofnąć i nie mogła. Nie puszczono jej, a i ją samą jakby coś urzekło... Bezwolną wciągnięto do garderoby, żeby ją trochę oporządzić. Panna domowa wynalazła dla niej na prędce jakąś zeszłoroczną sukienczynę, dobrano bieliznę i pantofelki. Szara panienka nie zwracała uwagi, że spód jedwabny jest już z lekka podcerowany, a srebrne pantofelki poczerniały i mają poprzecierane nosy. Wszystko było dla niej takie nowe i niezwykłe... Czuła chłodny dotyk jedwabiu na swym ciele, patrzyła na przeźroczyste pończochy i poruszała się w oszołomieniu, jak we śnie, podczas gdy trzy śliczne, (jak gracje, panny kręciły się koło niej, pomagając w ukończeniu toalety. Śmiechów i żartów było przy tym co niemiara! Odebrano jej lustro z rąk i kazano być posłuszną we wszystkim.

— Zobaczysz, jak wszystko będzie skończone! — zdecydowały stanowczo, tonem niedopuszczającym żadnego sprzeciwu.

Wreszcie i same panienki, które na razie od niechcenia tylko i z musu, żeby przecież pośmiewiska nie urządzić zabrały się do pomocy, — przejęły się swą rolą dobrych wróżek, strojących kopciuszka na bal. Bawiło je trochę oszołomienie dziewczyny i ich własna rola wobec niej.

Rozpuściły jej włosy, zauważywszy ze zdziwieniem, że warkocze miała grube, puszyste, przebłyskujące najczystszym złotem na końcach. Jedna ułożyła jej zręcznie włosy w karby, druga przyciemniła brwi ołówkiem, podkreśliła mocniej rysunek ust karminem, natarła policzki różem i pudrem. Szara panienka broniła się nieśmiałym, skrępowanym śmiechem. Nie, nie, nigdy tego nie robiła przecież. W nieco drwiącym uśmiechu swych wróżek wyczytała wyraźną odpowiedź, że dlatego też wyglądała zawsze, pożal się, Boże, jak czupiradło. Więc umilkła zawstydzona, nie wtrącając się już do niczego. I oto nadszedł nareszcie koniec... Ostatnie szpilki wpięte na prędce do ciężkiego węzła włosów, ostatnie dotknięcie puszkiem, perfumami i... toaleta była skończona.

— Patrz, — powiedziały panienki, prowadząc ją do lustra z dumą, jako swe niezaprzeczone dzieło.

Maria Malinowska patrzyła i oczom swym nie wierzyła. To nie była... to nie mogła być ona! Szara, niepozorna panienka znikła gdzieś wraz ze swym uniformem i zdartymi z głowy włosami. Z pierwszej balowej sukni wychylała się szyja krągła, jakby toczona i smukłe, białe ramiona, puszyste loki otaczały twarz białą i różową o cerze prawdziwie różanej, błyszczących oczach i czerwonych, kształtnych wargach. Do innego widoku przywykła na co dzień szara panienka! Więc spoglądała kolejno na siebie i na swe dobre wróżki, jakby szukając u nich potwierdzenia prawdy.

Największa wszakże niespodzianka czekała ją przy wejściu do salonu. Gdy stanęła w progu, walcząc z resztkami nieśmiałości i oszołomienia zwróciły się na nią wszystkie oczy i nie opuściły jej już do końca. Przed pierwszym tańcem jeszcze, przed pierwszym usłyszanym komplementem, gdy stała ogarniając z dala tańczące pary, uczuła, że budzą się w niej jakieś inne, nieznane, nieprzeczuwane możliwości, że otwierają się przed nią nowe, czarodziejskie horyzonty. Nie tylko strój i ciało odmieniły jej dobre wróżki, — dały jej także nową duszę. Rozwiała się gdzieś bez śladu jej nieśmiałość i całe skrępowanie... Stała się sobą... taką, jaką chciała się widzieć, jaką mogłaby być w innych, szczęśliwych warunkach życia. Szara, zahukana panienka znikła zdawało się zupełnie i bezpowrotnie...

Dokończenie nastąpi.

CHWILA ZASTANOWIENIA

KRZYŻ MAGICZNY

Ul. F. Gałecki (Czł. Warsz. Kl. Szar.)

Wpisać wyrazy o poniższym znaczeniu tak, by w kierunkach pionowym i poziomym czytane były jednakowo.

Znaczenie wyrazów:

1. Wysoki dostojnik wojskowy w Polsce. 2. Godność T. Kościuszki. 3. Rodzaj formacji wojskowej.



KWADRAT MAGICZNY

uł. L. Kiełpiński

	1	2	3	4	5
1					
2					
3					
4					
5					

Znaleźć 5 wyrazów, czytanych poziomo i pionowo, o znaczeniu: 1) Imię męskie (skrót). 2) Widownia. 3) Sprzęt kuchenny. 4) Lewatywa. 5) Napój.

Za rozwiązanie powyższych zadań redakcja przyznaje nagrody w postaci książek.

Rozwiązania należy nadsyłać do piątku, dn. 28 października br.

Rozwiązanie zadań z numeru 41 „Moich Powieści":

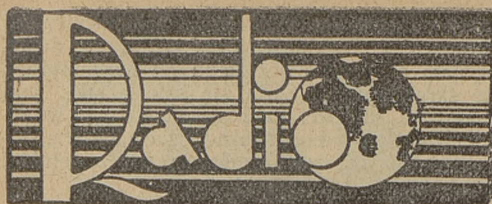
I. Krzyżykówka:

ARK PAS
RAW RAZ
KWATERA
TUM
PREMIER
AAR ERA
SZA RAB

II. Logogryf: „Gwiazda Polska".

Trafne rozwiązania nadesłali: pp. Bultrowicz Wacław — Gniezno, Molski Jan — Warszawa, Włosowicz — Sieroszewice, Golimuntowicz Wanda — Dukla, Lenart Tadeusz — Rakowice. Grobelny Ludwik — Bydgoszcz, Rolcicki St. — Kowel, Podhalicz Stefan — Lwów.

Nagrody w drodze losowania przypadły pp. Bultrowiczowi z Gniezna i Molskiemu z Warszawy.



Niedziela, dnia 23 października 1938 r.

7.15 Audycja poranna 9.15 Odczyt misyjny 9.25 Regionalna transmisja z Żyrardowa 11.45 Program literacki w sezonie jesienno-zimowym omówi Witold Hulewicz, kierownik wydz. literackiego 12.03 Poranek symfoniczny z Katowic 13.10 Muzyka obiadowa 14.40 Wszystkiego po trochu — audycja dla dzieci 15.00 Audycja dla wsi 16.10 „W Stanach Zjednoczonych" — fragment z książki Ewy Curie p.t. „Maria Curie" 16.30 Recital skrzypcowy Maxa Struba 17.30 Podwieczorek przy mikrofonie 19.30 Kamil Saint-Saens — koncert z płyt 20.30 Koncert światowy z Kanady 21.10 Transmisja fragmentów międzynarodowego meczu piłkarskiego Polska—Norwegia 22.00 Muzyka taneczna z Poznania.

Poniedziałek, dnia 24 października 1938 r.

6.30 Audycja poranna 11.00 Audycja dla szkół 12.03 Audycja południowa 13.00 Audycja dla kupców i rzemieślników 13.30 „Rytm" — audycja muzyczna dla liceów 15.00 Słuchowisko dla młodzieży: „Ania pozostaje na Zielonym Wzgórzu" 15.30 Muzyka obiadowa (z Wilna) 16.30 „Sylwetki kompozytorów polskich" 17.30 Litwa współczesna — reportaż 17.45 Billy Mayerl: Akwarium — suita — koncert z płyt 18.00 Audycja dla wsi 18.30 Audycja Junackich Hufców Pracy 19.00 Koncert rozrywkowy 21.00 Józef Marx: Trio — Fantazja 22.00 Rozwój symfonii — audycja muzyczno-słowna.

Wtorek, dnia 25 października 1938 r.

6.30 Audycja poranna 11.00 Audycja dla szkół 12.03 Audycja południowa 15.00 „Mam 13 lat" — powieść dla młodzieży 15.30 Muzyka obiadowa 16.25 Recital fortepianowy Zygmunta Lisieckiego 16.35 Pielęgnowanie pacjentów w chorobach przewlekłych" — pogadanka 17.10 Nicolo Paganini: Kwartet D-dur — koncert 17.30 „Z pieśnią po kraju" 18.00 Audycja dla wsi 18.30 Audycja dla robotników 19.00 Koncert rozrywkowy w wyk Małej Orkiestry P. R. 21.00 II część koncertu inauguracyjnego Sekcji Pomocy Młodym Muzykom przy Warsz. Tow. Muzycznym 22.15 Recital śpiewaczy Mercedes Capsir 22.40 Literatura słowiańska Mickiewicza w nowym wydaniu — szkic literacki.

Środa, dnia 26 października 1938 r.

6.30 Audycja poranna 11.00 Audycja dla szkół 12.03 Audycja południowa 15.00 „Nasz koncert" — Audycja dla dzieci 15.30 Muzyka obiadowa 16.15 Dom i szkoła: „Moje dziecko w nowej szkole" — pogadanka 16.30 Koncert solistów 17.05 „Formacje wojskowe polskie w przeddzień odzyskania Niepodległości" — odczyt 17.20 Pod wtór gitary — audycja słowno-muzyczna 18.00 Audycja dla wsi 18.40 „Dyskutujmy" 19.00 Koncert rozrywkowy 21.00 Opowieść o Chopinie: „Lata młodzieńcze" 21.45 Poezja Wieku Złotego — audycja literacka 22.00 „Muzyka kameralna od Haydna do Ravela".

Czwartek, dnia 27 października 1938 r.

6.30 Audycja poranna 11.00 Audycja dla szkół 12.03 Audycja południowa 15.00 Świat w kolorach — pogadanka 15.15 Kłopoty i rady: Kazio nie chce jeść 15.30 Muzyka obiadowa 16.15 „W hucie szklanej" — pogadanka dla młodzieży 16.35 „W muzykalnym domu" — audycja muzyczna 17.30 Nasze pieśni — koncert w wykonaniu H. Zboińskiej-Ruszkowskiej 18.00 Audycja dla wsi 18.30 O tytułach utworów muzycznych — gawęda 19.00 Koncert rozrywkowy ze Lwowa 21.00 „Na czym polega sens przebudowy gospodarczej" — odczyt 21.10 Komedia A. Fredry „Odludki i poeta" (wiecz. XIII) 22.00 Najpiękniejsze kwartety i kwintety klasyków wiedeńskich — koncert 23.05 Koncert muzyki polskiej.

Piątek, dnia 28 października 1938 r.

6.30 Audycja poranna 11.00 Audycja dla szkół 12.03 Audycja południowa 15.00 „Hokus, pokus, dominikus" — audycja dla młodzieży 15.30 Muzyka obiadowa 16.30 Pieśni ludowe w wykonaniu chóru chłopców szkoły powszechnej nr. 5 17.00 Koncert kameralny 18.00 Audycja dla wsi 18.30 Opowiadanie marynarskie: „Na pokładzie „Latającego Holendra" — audycja słowno-muzyczna 19.15 Koncert muzyki lekkiej 21.00 „Cyklon" — powieść mówiona F. Göstla 21.15 Fragment z opery „Faust" ks. A. Radziwiłła 22.30 Ludwik van Beethoven: Sonata fortepianowa A-Dur.

Sobota, dnia 29 października 1938 r.

6.30 Audycja poranna 11.00 Audycja dla szkół 12.03 Audycja południowa 15.00 Słuchowisko dla dzieci „Tygrys krąży koło chaty" 15.30 Muzyka obiadowa 16.30 Recital śpiewaczy Edwarda Bendera 17.10 Koncert orkiestry Rozgłośni Wileńskiej 18.00 Audycja dla wsi 18.30 Audycja dla Polaków za granicą 19.30 Rewie, film, operetki — koncert rozrywkowy 21.00 Polska Kapela Ludowa F. Dzierżanowskiego 21.55 Godzina niespodzianek 23.15 Muzyka taneczna.



ŻÓŁW

— Pan mi przecież mówił, że żółwie żyją trzysta lat! A mój zdechł tego samego dnia, w którym go u pana kupiłem!

— To był istotnie pech, mój panie! Widać właśnie skończył trzysta lat...

W ZASTĘPSTWIE

— Czego sobie pani życzy? — pyta malarz jakiejś starszej pani.

— Moja córka zachorowała — mówi zagadnięta — przyszłam więc w zastępstwie jako modelka.

PORADZI SIĘ NA TO

Dyrekcja cyrku przygotowuje nową atrakcję.

— Włóż pan tę kamizelkę! — zwraca się dyrektor do Maksa. — Będziemy do pana strzelać z rewolweru. Nie bój się pan, nic się panu nie stanie; kamizelka jest odporna na wszelkie kule... Mam na to trzyletnią gwarancję.

— A jeżeli mimo to stanie się wypadek — pyta drżącym głosem Maks.

— Wówczas publiczność otrzyma z powrotem pieniądze za bilety — odpowiada dyrektor.

ROZMOWA BLAGIERÓW

— Wyobraź sobie, widziałem taką rzekę, w której jest tyle ryb, że nie trzeba wędek, ani sieci. Wystarczy zanurzyć garnek, a będziesz w nim miał połowę wody i połowę ryb.

— To jeszcze nic. Ja widziałem taką rzekę, w której wcale nie było wody, tylko same ryby!

UNIKAT

— Nabyłem niezwykle rzadki i cenny zabytek: wieczne pióro, którym Mickiewicz pisał „Dziady".

— Ale wówczas nie znano jeszcze wiecznych piór!

— Tak, i dlatego też to pióro jest takie cenne!

MIĘDZY PRZYJACIÓŁKAMI

— Wiesz, wczoraj byłam u wróżki, powiedziała mi, że dożyję późnej starości.

— Tak, ja to już dawno zauważyłam.

NOWA POTRAWA

— Jadłem wczoraj pulardę a la Roentgen.

— A la Roentgen? Nie znam tej potrawy.

— Same kości...

U KRAWCA

— Jak pierwszy raz zapiąłem ubranie, to marynarka popękała na plecach !

— Widzi pan, jak mocno przyszywamy guziki? Ani nie popuszczą!

NUTY

— Co ty właściwie grasz, Mueller? Tego nie ma w nutach!

— Bo nie mogę odróżnić tych przeklętych much od znaków muzycznych...

KOCHANIE

— Kto jest ten młodzieniec, z którym tylko co rozmawiałeś?

— Nie znam go bliżej...

— A mówisz mu „kochanie"?

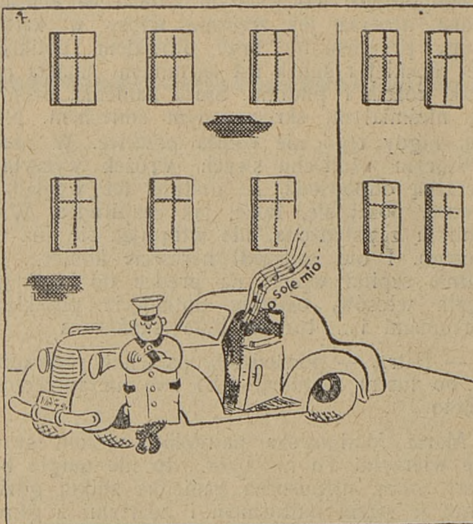
— Właśnie dlatego, że nie wiem, jak mu na imię!

●●●●●●●●●●●●●●●●●●●●●●●●●●●●●●

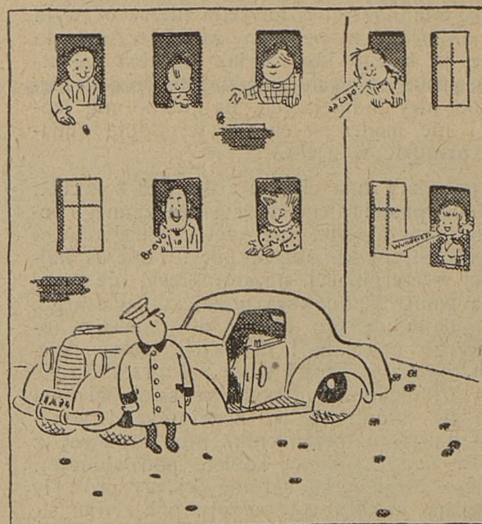
OGŁOSZENIA DROBNE

PANNA, lat 21, wykształcenie 6 klas gimn. poszukuje posady na wyjazd, (najchętniej w dużym mieście), w charakterze biuralistki, panny do towarzystwa, może zająć się dziećmi, lub jako ekspedientka. Zna szycie i wszelkie roboty kobiece. Zgłoszenia z warunkami: Sandomierz, poste-restante pod „Wrzos".

MATURZYSTKA, specjalność matematyka, fizyka, niemiecki łacina, poszukuje posady korepetytorki-wychowawczyni w zakresie wszystkich klas gimnazjum, albo jakiejkolwiek innej. Zgłoszenia z warunkami: Sandomierz, poste-restante pod „Iwa".



Szofer eleganckiego samochodu chciał sobie uprzyjemnić postój



....i co z tego wynikło!?

PRZEDPŁATA już z odnoszeniem przez pocztę miesięcznie 1 złoty, kwartalnie 3.00 złote. Pod opaską i za granicą miesięcznie zł 1.50, kwartalnie zł 4,50, Nr. pojedyńczy 30 gr. W razie wypadków, spowodowanych siłą wyższą, przeszkód w zakładzie, strajku itp. wydawnictwo nie odpowiada za dostarczenie pisma, a prenumeratorzy nie mają prawa do odszkodowania.

REDAKCJA I ADMINISTRACJA Żnin (Wlkp.), ulica Śniadeckich 8. P. K. O. Nr. 207 393. — Telefon 32.

Rękopisów niezamów. nie zwraca się.

Wystarczy adresować „MOJE POWIEŚCI" — ŻNIN.

CENY OGŁOSZEŃ: 1/1 strona 450,— złotych, 1/2 strony 225,— złotych i t. d. Wiersz milimetrowy szerokości 32 mm 25 groszy. Drobne ogłoszenia: za każdy wyraz 10 groszy, dla poszukujących pracy 50 procent zniżki. Za zastrzeżenie miejsca dolicza się 25 procent. Ogłoszenia przyjmuje się najpóźniej 12-cie dni przed datą numeru.

UWAGI OGÓLNE: Administracja nie przyjmuje odpowiedzialności za termin ogłoszenia oraz za zgubę lub zniszczenie matryc i klisz. Zastrzeżenie miejsca obowiązuje Administrację tylko wówczas, gdy za takie zastrzeżenie zostanie zapłacona przewidziana w cenniku 25 proc. nadwyżka. — Omyłki, które zasadniczo nie zmieniają treści ogłoszenia, nie upoważniają do żądania zwrotu gotówki, ani też nie zobowiązują Administracji do bezpłatnego powtórzenia ogłoszenia — Uzasadnione reklamacje będą uwzględniane o ile zostaną wniesione do dni 8-miu od daty ukazania się ogłoszenia, lub od daty otrzymania rachunku. Podwyżka cen ogłoszeń może nastąpić w każdym czasie i obowiązywać będzie również te ogłoszenia, które zostały zamówione poprzednio, a nie były z góry zapłacone. — Wydawnictwo zastrzega sobie prawo nie umieszczania całego ogłoszenia, wzgl. jego części bez podania powodów. Komunikatów bezpłatnych nie umieszcza się. — Zniżek nie udziela się. — ROZMIAR STRONY DRUKU: Wysokość 300 mm, szerokość 212 mm. — Podstawą obliczenia jest 1 milimetr, w jednym łamie. — Strona w tekście ma 3 łamy podwójne á 68 mm. Strona za tekstem ma 6 łamów á 34 mm.

Redaktor naczelny i wydawca: Alfred Krzycki. — Redaktor odpowiedz.: Mirania Galińska — Zakłady Wydawnicze Alfred Krzycki w Żninie.

Pocztowe konto rozrachunkowe: Żnin nr. 1.